N. 36. WARSZAWA d. 26 Sierpnia (7 Września) ROKU 1872.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

ZE WSPOMNIEŃ KOBIETY

POWIEŚĆ

ORYGINALNIE NAPISANA

przez

Marją Szeligę (1.)

(Dalszy ciąg.)

— Używam spaceru, rzekła podając mi rękę. Mój małżonek nie pozwala mi jeździć konno, bo obawia się zmęczenia, a pieszo nie daleko zajdę! Zkąd jedziecie?

Opowiedziałam jéj, a ona powiedziała serdecznie:

— Jedźcie wszyscy do mnie. Pragnęłabym sama do powozu i prosić twéj matki, ale tak mi jest trudno wywindować się na stopnie i ze stopni, że kwadrans czasu nie mogę tchu uchwycić. Strasznie się przez chorobę zrobiłam niedołężną. Ale nie odmówicie mi? choć wbrew etykiecie przyjedziecie do mnie...

— Przyjedziemy droga pani!—odparłam ściskając jéj rękę. Łagodne blaski gasnącego światła oblały ją aureolą złocistą. Spojrzałam się na twarz jéj pociągłą, szczupłą, ale mającą wyraz takiéj szlachetności łagodnéj, że ją w myśli porównałam do twarzy świętéj męczennicy!..

Coś podobnego pomyślał i Marjan patrzący zdala na nas, bo gdy powtórzyłam zaproszenie, które bez wachania przyjęli, i powiedziałam myśl moją on rzekł:

— Widocznie na każdym jednakie wywiera wrażenie.

Zastaliśmy oboje państwa Z. czekających w ganku na nasze przybycie. Miła uprzejmość z jaką powitała mateczkę i brata, odrazu ujęła ich poczciwe serce. Po chwili siedzieliśmy w gustownie urządzonym saloniku i gawędziliśmy swobodnie. Podano harbatę a ja uprosiłam pani Karoliny, aby mi pozwoliła wyręczyć się w jéj wydaniu i upiekłam ogromnego raka, gdy mój pan mąż za podanie mu herbaty, pocałował mię w rękę. Trzeba bowiem wiedzieć, że przez cały czas starania się a potem i po ślubie nawet, nigdy mię w rękę nie pocałował, i po raz pierwszy dopiero dziś otrzymałam ten zaszczyt. Przecież to chyba nie z obowiązku,—pomyślałam ucieszona, i spojrzałam się na niego serdecznie.

Potem oboje z Marjanem graliśmy na przemiany. Podczas gdy brat mój grał, pani Karolina rzekła do męża:

— Czy nie uważasz podobieństwa pana Orzelskiego do......

— Do Idalji!—dokończył pan Z., rzeczywiście uważałem to przed chwilą. Niby rysy inne, a przecież jest jakieś uderzające podobieństwo.

— Mam kuzynkę blizką, siostrę cioteczną, do któréj twój brat jest bardzo podobnym!—zwróciła się do mnie pani Karolina. Oto jéj fotografja! Osądź czy się mylę!

Fotografja wyobrażała młodą kobietę dziewicę, można użyć tu tego wyrażenia, bo zupełnie przypadała do jéj poważnej piękności. Na pierwszy rzut oka panna Idalja była rzeczywiście bardzo do Marjana podobną.

Mnie to bardzo zajęło, i zaczęłam się wypytywać o nią ciekawie. Dowiedziałam się, że to jest sierota, bardzo wykształcona i miła panienka, bawiąca obecnie u krewnych w Warszawie.

Z kolei powiedziano mi, że jest bogatą, ale dotąd za mąż iść nie chciała, i ma opinją bardzo egzaltowanéj...

— Ma trochę prawa do tego, rzekł przysłuchujący się w milczeniu Marjan, wszakże się zwie Idalją, i to samo co szczyt największego piękna nosi imię ideał.

— Jakże panu dziękuję za to określenie osoby którą bardzo kocham i cenię,—powiedziała pani Karolina z uśmiechem, który jak promyk majowego słońca często rozjaśniał jéj twarz niewysłowionym wdziękiem.

Potem rozmawialiśmy wiele o literaturze, a sąd pani Karoliny, pozyskał nasze potwierdzenia, bo był niepospolity, i na gruntownem badaniu oparty.

Dawno już nie miałam tak przyjemnych chwil, jak spędzone w Miléjwsi, i krótkie półgodziny naszego powrotu, wcale różne były od smutnéj zadumy, jaką każdy miał na czole wracając z Woli.

— Ah! jakże masz miłe sąsiedztwo Janko! mówiła mateczka moja, w uniesieniu pochwał dla państwa Z. Czy oni nie mają wcale dzieci? spytała Jarosława, taka matka jak pani Karolina umiałaby wychować córkę!

— Mają tylko jednego syna, który jest obecnie w znajomym domu, gdzie wraz z synem tych państwa, odbiera bardzo staranne wykształcenie. Córki nie mają odrzekł Jarosław.

— Jeśli będziesz miała córkę Janko! chowaj ją na wzór pani Karoliny!—powiedziała mateczka.

Zmięszana ogromnie, pierwszy raz oskarżyłam mateczkę o niedelikatność. Nieśmiało spojrzałam ukradkiem na Jarosława i szybko opuściłam powieki, bo spotkałam się z jego jasnem jak dawniéj wejrzeniem.

Ale chwila całkowitego porozumienia nie nadeszła jeszcze. Serca nasze rwały się ku sobie, ale usta milczały uparcie. Jakiś szatanek złośliwym poszeptem tłumił wyznanie szczere. Podejrzenia nie przestawały się snuć w méj głowie, a najlepszy jaki mogłam wyprowadzić wniosek z postępowania Jarosława

(1) W tych dniach Autorka nadesłała nam tę poprawkę w przybranem przez siebie nazwisku, dla tego dziś ją dopiero dopełniamy. *Red.*

był ten, że on się waha między miłością dla Dosi i poczuciem honoru i obowiązku.

Smutna to była pociecha!

Na drugi dzień po wizycie w Miłejwsi, siedzieliśmy na ganku ocienionym dzikiem winem i rozmawialiśmy żywo, gdy na drodze wśród obłoku szarego kurzawy, ukazała się jakaś amazonka. Kapryśnie kierując koniem, bo raz pędząc galopem, to znów zatrzymując się w biegu i wolnem ruszając stempem śmiała amazonka, zmierzała widocznie ku dworowi.

— To Dosia!—zawołałam poznając ją po ruchu jakim poprawiała kapelusz.

— Kto to jest?—spytała mateczka.

Nim Dosia stanęła przed gankiem, opowiedziałam wszystkie wiadome mi szczegóły, śledząc wyraz twarzy Jarosława. Ale on jakby umyślnie odwrócił się patrząc na drogę.

Jak wicher wiosenny, wpadła kuzynka Dosia, szybko i gwałtownie, zeskoczyła z konia okrytego pianą, wpierw za nim jej kto zdołał przyjść w pomoc, i nie podnosząc olbrzymiego ogona swéj ciemno-zielonéj sukni, wbiegła na ganek ze szpicrózgą w ręku.

— Witaj mi mój niewierny kochanku. Koń mój mimo méj woli zaniósł mię tu do ciebie, ale słuszną jest rzeczą, aby gdy góra nie przyszła do Mahometa, Mahomet przyszedł do góry, nieprawdaż?. Wyrzekła to głośno, prędko i dobitnie, widocznie nieuważając nikogo. Nagle spostrzegła mateczkę i skłoniła się jej z wdziękiem.

— To matka twoja? Czy mówiłaś jej co kiedy o tem biednem stworzeniu, zwanem kuzynką Dosią?..

— Mówiłam wszystko co wiem, odparłam znacząco.

— A! więc nie wiesz jeszcze wszystkiego!—rzekła roztrzepanie rzucając niby roztargnione na Jarosława wejrzenie. Dzień dobry! dodała podając mu jeden palec. A! to brat twój pan Marjan! wszakże tak?

— W istocie, jestem że pani znanym?

— Z opisu i słyszenia, wybornie! Ah! jakże się zmęczyłam, zawołała i zrzucając męzki kapelusz upadła na krzesło.

— Spotkałam się z panem Amilkarem; byłby tu już od godziny, ale szuka na łące kwiatów dla ciebie na bukiet, i posądzam go, że przytem układa na cześć twoją wdzięczne rymy, bo miał minę natchnioną.

— Ale rzeczywiście to człowiek wielkich zdolności i bardzo niezwykłego charakteru—poprawiła się natychmiast powściągając szyderczy uśmiech, i nie dając mi przyjść do słowa.

— Pani pewno patrzy ze zdziwieniem na taką roztrzepaną istotę? Ale uprzedzam wyrok potępienia przedstawiając, że dziś jestem wyjątkowo w awanturniczem usposobieniu, a zazwyczaj bywam wcale inną, rzekła przymilając się jak koteczka do matki.

— Wcale inną! powtórzyła, i rozśmiała się zgrzytnąwszy silnie białemi ząbkami, aż mateczka wzdrygnęła się i pobladła.

Marjan patrzył i słuchał, jak człowiek nie wierzący własnem oczom i uszom. Jarosław stojąc przy ścianie okrytéj splotami liści, szarpał gałązkę bezmyślnie nie odwracając głowy. Ja kolejno przenosiłam mój wzrok na niego i Dosię, badając czegoś, czego się domyślić nie mogłam.

— Voilà l'individu! zawołała Dosia wskazując na zajeżdżający ekwipaż Amilkara.

Milczeliśmy wszyscy. Gadanina pięknéj kuzynki nastroiła dziwnie nasze usposobienia. Wśród téj ciszy ogólnéj, wszedł on rzeczywiście trzymając w ręku bukiet z polnych kwiatów.

Zdawało mi się, ze zmieszał się nieco na widok liczniejszego towarzystwa. Powitał mię ukłonem, Jarosława podaniem ręki, reszcie się skłonił z powagą. Widząc że Jarosław się do tego nie zabiera, wyjąknęłam przedstawienie i następnie usiadłam w fotelu, przed którym leżał podnóżek. Amilkar zbliżył się, i składając kwiaty u stóp moich rzekł półgłosem:

— Rycerze swej damie trofea zwycięztw swych ofiarowali, ja na inną dań godną pani zdobyć się nie mogę i składam tylko kwiaty...

— Dziękuję panu! odparłam z uśmiechem nieco wymuszonym, bukiet ten jest rzeczywiście bardzo ładny.

Amilkar ukłonił się i odszedł siadając zdala odemnie, i z miną dosyć zadowolnioną, zaczął zajmującą rozmowę. Mateczka odpowiadała chętnie, Dosia rozsądniéj, ja dosyć żywo. Jarosław i Marjan milczeli tylko uparcie. Nakoniec wśród najbardziéj ochoczéj gawędy, wyszli na dziedziniec, a ztamtąd do ogrodu.

Piękny czas, zachęcił nas do naśladowania ich przykładu, i wkrótce szliśmy długą cienistą ulicą rozłożystych lip i akacji. Ulica była dość wązką, mateczka z Dosią postępowały naprzód, a ja i Amilkar za niemi. Kuzynka zajęła mateczkę jakimś nowym systemem pielęgnowania owocowych drzewek, który mateczka jako zamiłowana ogrodniczka, poczęła zbijać z zapałem, a my nie należąc do tej rozprawy, niby słuchaliśmy dowodzeń. Nakoniec mój towarzysz wpatrzył się we mnie z dziwnym wyrazem. Odpowiedziałam pytającem wejrzeniem.

— Szukam w twarzy pani śladu owego zemdlenia rzekł ciszéj.

— To już tak dawno minęło! odparłam.

— Nie zupełnie minęło. Na czole pani jest jeszcze bladość, która je wtedy ogarnęła, a w oczach znać znużenie i tęskne osłabienie...

— Czyż podobna? zapytałam z niechęcią.

— Nigdy więc nie zyskam ani trochę zaufania?... przerwał mi, a potem dodał cicho:

— Pani! ja wiem przyczynę zemdlenia twego, ja ją znam oddawna!..

— Panie!

— Pozwól mi pani dokończyć. Ja wiem i lubo po wiele razy odtrącony, przychodzę znów aby ofiarować moją pomoc i usługi. Przyjmij je pani.

— Pan może tłomaczy sobie fałszywie!—rzekłam z wysiłkiem.

— Nie, pani! Jarosław.....

— To mój mąż!

— Tak! to mąż pani, tak, wyrzekł patrząc na mnie z litością, to pani mąż!..

Milczałam drżąca z bólu szalonego, który mi rwał serce.

— Uwielbiam panią, ale w każdym razie, licz pani na mnie, jak na przyjaciela serdecznego.

Ujął moją rękę, i ścisnął ją gorąco.—Dochodziliśmy do końca ulicy, nim zdołał rękę cofnąć, kuzynka Dosia odwróciła się nagle, odsunęła się na bok, mateczka postąpiła kilka kroków daléj i zostaliśmy więc raptownie oddaleni, trzymający się za rękę, co musiało wyglądać dość śmiesznie. Naprzeciw nas stała pod drzewem ławeczka, na niéj siedzieli Jarosław i Marjan, i prawdopodobnie tę całą scenę musieli ujrzeć, bo oba powstali z miejsca, i przyłączyli się do nas.

Łatwo pojąć co się działo w méj duszy. Cierpiałam znowu okropnie tembardziéj, że ktoś obcy wiedział moją smutną tajemnicę. Były chwile w których pragnęłam natychmiastowéj śmierci—jedynego lekarstwa na moje nieszczęście niezmierzone.

Skarżyłam się na ból głowy, nie mogąc inaczéj utaić wrażenia, zabijającego moją moralną istotę. Smutny był wieczór, jam rozpaczała, nie umiejąc ukryć bólu, Jarosław gryzł wargi aż do krwi, i dzikie rzucał wejrzenia. Marjan był dumny, mateczka jakby odczuwając co się w naszéj piersi dzieje, w tęskną zapadła zadumę. Dosia parskała co chwila drażniącym śmiechem, któremu nikt szczerze nie mógł zawtórować, jeden tylko Amilkar zachował zimną krew, zwykły humor i minę obojętną.

Nazajutrz mateczka i brat powitali mię okrzykiem podziwu.

— Tyś chora Janko! jakażeś blada! tyś chora!

— Głowa mię jeszcze boli, odparłam.

Jarosław wybiegł z pokoju.

— Czy się gniewacie?—zapytała matka trwożnie.

— Nie! o! nie!..—mówiłam śmiejąc się nerwowo, nie!

— Przypomniałaś mi śmiechem twoją kuzynkę Dosię. Dreszcz mię przebiegał, gdy się śmiała zgrzytając zębami. To szczególna istota! wyrzekła mateczka.

— Ah! jak ona mi się niepodoba! mówił Marjan.

— Mimo jéj wdzięku?

— Jest niemiłą i niedobrą być musi, mimowolnie porównywałem jéj piękną twarz, do anielskiego wyrazu twarzy nieładnéj pani Karoliny, jakaż różnica między temi dwiema kobietami! tam to świętość, a to......

— Syrena, ale piękna urocza syrena!—zawołałam z ironją.

— Tyś chora Janko!... powtórzyła mateczka.

Byłam chorą rzeczywiście, chorą na ciele i umyśle, rozdrażnioną i cierpiącą. Po południu matka namówiła Jarosława i Marjana, aby pojechali do Woli, a gdy same zostałyśmy, uprosiła mię iżbym się położyła! Usłuchałam jéj i wkrótce leżałam na łóżku cicho, zmęczona, jak ktoś dźwigający ciężar bardzo wielki. Mateczka opuściła białą u okna zasłonę i starannie poprawiła poduszki, poczem usiadła przy mnie z robotą w ręku. Było mi więc cicho i jasno, i wonny ciepły oddech lata wpadał przez okno otwarte i lekką tylko okryte zasłoną, a jednak ten spokój i wygoda nie ukołysały mię do snu, przynoszącego ulgę znużonéj głowie. Gorączka mię paliła wewnątrz, nie dobrze mi było spoczywać na miękkiéj pościeli i pomyślałam, że lepiéj by było na twardem chłodnem łożu służącem śmierci... Nie płakałam już wcale, tylko coraz silniejsze czułam gorąco i ból w głowie, choć dreszcz często przebiegał mię całą i wstrząsał jak za oblaniem zimną wodą.

Mateczka strasznie się przelękła, i trzymając moją rękę niespokojnie śledziła wzrastającą gorączkę.

Traciłam przytomność i czując, że nie władam myślą, obawiałam się ostatkiem pamięci, abym nie wydała tajemnicy. Zanim przystąpiła całkowita maligna rzekłam do mateczki:

— Ja nie będę nic mówić! ja wcale nie będę mówiła w gorączce.

Daléj już nic nie wiem co się stało, bo chora moja wyobraźnia pomięszała wszystkie obrazy marzeń i rzeczywistości. Tylko ostatnia myśl utkwiła mi w głowie, bo jak po przejściu gorączki trwającéj noc całą, zbudziłam się rano, natychmiast przypomniałam ją sobie i zatrwożyłam się bardzo, czy czego nie mówiłam bezwiednie.

Obok mateczki siedzieli Marjan i Jarosław, i jeszcze jakiś pan obcy, w którym domyśliłam się doktora.

— Lepiéj ci, Janko serdeczna? —spytała matka.

— Boli mię! boli bardzo!.. odparłam nie wiedząc sama jak stan mój określić.

Potem w milczeniu nie mogąc zdobyć się na

jedno słowo, leżałam kilka godzin. Popołudniu wróciła gorączka.

Tak przeżyłam więcéj niż tydzień. Każdego dnia parę godzin byłam przytomną, widziałam siedzących koło mego łóżka, poznałam matkę mego męża, która przyjechała mię odwiedzić, do pani Karoliny wyciągnęłam rękę i chciałam mówić, ale tak byłam osłabioną, że wydało mi się to niepodobną pracą do wykonania. Zaraz jednak nad wieczorem wracała gorączka trwająca do późnego rana.

Lekarz zadecydował febrę nerwową.

Kiedy po dziesięciu dniach przyszłam nieco do siebie, stałam się zupełnie inną istotą. Dziwna nieczułość ogarnęła mię, nie płakałam; nie rozpaczałam, zrosłam się z cierpieniem, i myślałam o niem z biernem poddaniem.

Powrót mój do zdrowia był bardzo powolny.

Całe dnie spędzałam siedząc w głębokim fotelu, naprożno pragnąc otrząsnąć się z smutku, co się wpoił w mą duszę. Miłość Jarosława była mi życiem, światłem, siłą żywotną, z jéj utratą wszystkiego mi nagle zabrakło.

A on?—Jarosław był blady na równi ze mną, smutny i znękany. I on także cierpiał skrycie. Lato się skończyło, ale jesień była piękna i dla tego obok mego fotelu, często zasiadła droga moja pani Karolina. Ona i Marjan rozweselali nas łagodną wesołością, często rzewną prawie, ale przynoszącą ulgę zbolałym sercom.

Marjan pojechał do domu na parę tygodni, i mateczka została niechcąc opuścić mnie słabéj. Mieliśmy ciągłe odwiedziny. Dosia była także parę razy lekka jak zawsze, życzyła mi rychłego wyzdrowienia z przyciskiem szczególnym.

— Może oni woleliby widzieć przeciwnie!—pomyślałam z gorzkim uśmiechem patrząc na bladego Jarosława.

Amilkar przybywał zawsze co dwa tygodnie i z czule troskliwą minką pytał o zdrowie.

Wdzięczną mu byłam za przyjazną życzliwość jaką mi ciągle okazywał.

Pewnego dnia byłam znowu słabszą. Siedziałam w swoim fotelu otulona szalem i patrzyłam na światło ognia na kominku, rozniecane ciągle przez Jarosława opartego o poręcz mego krzesła. Opodal na kanapce siedziały: mateczka i pani Karolina, która téj jesieni czuła się znacznie lepiéj, i odważyła się jeszcze mimo pierwszych dni złowrogiego października wyjechać. Nieco daléj wprost ognia siedział pan Z. bawiąc się z ulubionym wyżłem Jarosława o pysznych ogromnych uszach i rozumnem wejrzeniu. Mało mówiliśmy wszyscy, pora zwana szarą godziną rzadko do gawędy, częściéj usposabia do cichego dumania. Nagle drzwi się otworzyły i wszedł mój ukochany braciszek Marjan, wracający z dlugiéj do domu wycieczki.

Po przywitaniu serdecznem, gdy dawniejsze zajęliśmy miejsca, on wziął niski taboret, i siadając tak, że się znajdował u stóp mateczki, obok mnie i pani Karoliny, rzekł z tęsknym uśmiechem.

— Nie ma większego szczęścia dla człowieka, jak znajdować się w smutny wieczór jesienny, w zacisznym kąciku wśród rodziny i serc kochających, przy ogniu wesołym, i ciepłe uczuć przyjaźni i miłości!...

— Stęskniłeś się do nas? rzekła mateczka całując go w czoło.

— O tak mateczko najdroższa....tęskniłem za wami, i smutne miałem chwile, gdy po całodziennéj pracy zasiadłem samotny przy ogniu kominka, który najczęściéj zagasł, bo zapominałem go rozniecić.

Wtedy jeszcze mi było smutniéj, i uciekałem z pustego pokoju, od wygasłego ogniska!..

— Własna wina panie Marjanie trzeba sobie obrać kogoś, co by ogień utrzymał, gawędą rozweselił i ciepłem kochającego serca wszystkie smutne chwile rozjaśnił raczej rozjaśniła, bo mówię o kobiecie, o żonie powiedziała pani Karolina.

— O żonie? dla mnie? —rzekł przeciągle Marjan. Nie! to chyba niepodobne do spełnienia.

— Czemu?

— Gdzie znajdę taką, któraby stała się stróżem— aniołem domowego ogniska, przyjaciołką, towarzyszką rozumną a kochającą, dobrą córkę dla mojej mateczki, prawdziwą panią mego domu, gdzie taką wynaleźć?

— Czyż takich kobiet nie ma na świecie?

— Są, pani ale to wyjątki, to nadzwyczajne istoty, przed któremi biję czołem,—odpowiedział Marjan nieco wzruszony chyląc głowę przed panią Karoliną.

— Nie! panie Marjanie, możesz znaleźć taką żonę dla siebie, —odparła z uśmiechem.

— Pani zna moje pojęcia i usposobienie, zna mię pani tak dobrze, i twierdzi.

— I twierdzę, że to jest możliwe i prawdopodobne dokończyła poważnie. Panie Marjanie, przyznajesz sam, że cię znam dobrze i rozumiem twoje pojęcia i wymagania, czy przystałbyś na mój wybór?

— Wybór żony?

— Tak gdybym znała kobietę o jakiéj marzysz, przywiodła pana do niéj i dała poznać jéj zalety, ożeniłbyś się wówczas?

— Ożenię się z nią... jeśli ... jeśli potrafię ją pokochać .... wymówił Marjan z cichem westchnieniem.

— O tem nie wątpię. Więc pamiętaj, że od dziś zajmuję się swatami, wyrzekła pani Karolina z uśmiechem i zwracając się do mateczki dodała:

— Będziemy mieli wesele. A ty Janko nie choruj, abyś mogła na nim tańczyć w drugą parę a i ja przypomnę sobie czasy zdrowéj młodości.

Uśmiechnęliśmy się wszyscy, a Marjan pochylił głowę na kolana matki i westchnął znowu.

Tegoż wieczoru mateczka spostrzegła, że często wpada w zamyślenie, i zawołała z przykrością:

— I znów ty zaczynasz być smutnym Marjanie, zamiast nam dodawać wesołości, tęskną zadumę przywołałeś na czoło i trwożysz nas westchnieniem.

— Dawniéj wzbudzanie wesołości należało do naszéj złotéj ptaszyny, która szczebiotem swoim każdy smutek umiała oddalić... rzekł Marjan biorąc moją rękę.

— To było dawno!.. bardzo dawno!.. powiedziałam cicho.

Stłumione westchnienie uleciało z méj piersi, usłyszałam jego echo w stronie gdzie stał Jarosław. Co je wywołało, miłość lub zniechęcenie, żal czy tęsknota? O jakże pragnęłam dowiedzieć się o tem.

— Pamiętajże pan! że mam zobowiązania, rzekła żartobliwie pani Karolina do Marjana, który spojrzał na nią marzącem wejrzeniem błękitnych źrenic, i w milczeniu pochylił się przyciskając do ust podaną mu przyjaźnie rękę.

— Umowa zawarta, dodała z uśmiechem cofając rękę i kładąc ją z wdziękiem na ramieniu swego męża. Ty mi musisz dopomódz, a nie wątpię że nam się powiedzie, i tego jeszcze karnawału odprowadzimy młodą parę od ołtarza!

— Co daj Boże! Amen! odparł śmiejąc się pan Z. i pożegnali nas oboje serdecznemi słowy.

W tydzień potem, mateczka i brat powrócili do domu. Musieliśmy przyrzec, że przyjedziemy na święta Bożego Narodzenia. Oboje chętnie dawaliśmy słowo, ja się cieszyłam, że ujrzę znowu moją chatkę ukochaną, Jarosław może dla wspomnień, także zdawał się być uradowany z zaproszenia mateczki.

Po wyjeździe ukochanych pusto i głucho zrobiło się w naszym domu. Siły fizyczne powracały mi stopniowo, ale moralnéj ciągle brakowało. Wyjeżdżałam już, oddaliśmy wszędzie zaległe wizyty, byłam nawet u Dosi, którą zastałam w czarnéj sukni. z powiekami zaczerwienionemi jak po długim płaczu, smutną i roztargnioną.

— To ty umiesz być smutną!..—rzekłam z podziwem i trochą goryczy.

— A ty śmiać się potrafisz?—odparła z zabójczą ironją, patrząc na twarz moją wymownie świadczącą, że chęć śmiechu dawno się na niéj nie pojawiła.

Tryumfuje!—pomyślałam—ha! to okropne.

Amilkara widywałam często, prawie zawsze spotykaliśmy się na każdéj wizycie i zastanawiałam się nad tym szczególnym zbiegiem naszéj myśli. Postępowanie jego zawsze było grzeczne a nawet czułe. Po razy kilka dał mi poznać, że pragnąłby szerzéj pomówić o mojem nieszczęściu. Mimowolnie unikałem tego, byłoby to poruszeniem noża tkwiącego w ranie.

Stosunek mój z Jarosławem był zawsze jednaki, chłodny, i pozornie spokojny. Schodziliśmy się tylko przy stole, i prowadziliśmy obojętne o pogodzie i wizytach rozmowy. Na pożegnanie podawaliśmy sobie ceremonjalnie końce palców i ledwo dotknąwszy wzajemnie dłoni, odchodziliśmy każde do swego pokoju.

Jarosław teraz zwykle siedział w nocy do późnéj godziny, a ja kładłam się spać wcześnie i udawałam że śpię, gdy wchodził do pokoju.

Straszne były te dnie chmurne, dżdżyste, jesienne, nie rozweselone nigdy słowem, ni pieszczotą I czemu tak było?

Bośmy wzajem nie znali siebie, i podejrzenia jak zjadliwe węże ścisnęły śmiertelnym oplotem nasze serca. Jednego wieczora pojechałam do Miłéjwsi, zkąd miałam wiadomość, że pani Karolina jest nieco słabszą. Zastałam ją samą, bo mąż za interesami pojechał do miasta. Leżała na szezlongu i zawołała wyciągając do mnie rękę.

— Witaj mi moja droga! właśnie myślałam jakby to dobrze było gdybyś mię odwiedzała. Jestem sama i trochę słaba, smutno mi było.

— Nie sądzę abym pani mogła udzielić tego daru, którego dawno brakło w mojem sercu, rzekłam, siadając przy jéj nogach.

Spojrzała na mnie uważnie.

— Moja droga Janko, tobie coś jest? Widzę w tobie wielką zmianę, cierpisz, ale z jakich powodów? Ty dziecię szczęścia, gdy nic prawie nie pozostaje ci do życzenia i wymagania od losu, kochana, kochająca, jakież może cię przygnębiać zmartwienie?

— O! nie badaj mię droga pani, ja nie mogę wyznać co mi dolega. Lecz wierz mi, że... że jestem bardzo nieszczęśliwą!..— odpowiedziałam smutno i dodałam głucho:—mnie już łez nawet zabrakło, ale w zamian łez uchodzi codzień życie, któremu brakło.... wszystkiego co mu było dźwignią i światłem.

— Nie badam cię, ale pozwól, że z własnego doświadczenia udzielę ci nieco uwag—rzekła poważnie pani Karolina, kładąc rękę na mojéj dłoni. Często młode uczucia są zbyt wrażliwe, i gorąca wyobraźnia łatwo zmienia istotne znaczenie faktów, a ztąd wypływa cierpienie bezzasadne, ale nie mniéj szarpiące sercem boleśnie. Młode mężatki, wchodzące w nieznaną sobie, całkiem nową życia fazę, nie przygotowane i nie uzbrojone dostatecznie na trudną drogę pełną obowiązków i ważnych celów, najczęściéj przechodzą takie próby. Ze świata marzeń dostają się nagle w świat rzeczywisty, i gdy nie znajdą w nim tego samego co sobie wyobrażały, czują się nieszczęśliwemi, rozczarowanemi, zawiedzionemi istotami, i boleją długo zanim późniejsze lata i dzie-

cię, nie przywiąże je do ziemi i niepogodzi z życiem codziennych trosk i kłopotów. Ileż to razy ta co jeszcze rumieni się kładąc czepek na głowę, spostrzega nagle w mężu zły humor, chwilową zadumę, lub roztargnienie, i nie rozważając powodów, smuci się i rozpacza, oskarżając go o obojętność, brak serca i miłości, a niekiedy i o zdradę. A jednak było to tylko przemijającem. Pan mąż był, przypuśćmy głodny, zmęczony, albo zakłopotany, a przecież zamiast odgadnąć przyczynę i starać się ją usunąć lub załagodzić, młoda małżonka robi kwaśną minę, i do reszty pogorsza sprawę, poczem wylewa łez nie mało, skarżąc się na losy! Daruj mi moja kochana Janko, mówię to do ogółu, ale wierz mi, że się tak dzieje. Lekkomyślnie dajemy zobowiązania na całe życie, lekkomyślnie zrywamy nieraz ostatnią nić wiążącą nas ze szczęściem, a mimo przebytéj ciężkiéj nauki, wychowujemy nasze córki niepraktycznie, i ledwo wyjdzie z lat dziecinnych bez zastanowienia się nad własną przeszłością, dajemy je znów w tę samą kolej. Źle! bardzo źle robimy i grzeszymy przeciw społeczeństwu strasznie!..

— Słuchałam jéj mowy z przejęciem. Po raz pierwszy słyszałam taki pogląd ze strony poważnéj na życie i małżeństwo. Dotąd nie myślałam aby nazwa mężatki inne miała wskazywać obowiązki, oprócz miłości bez granic, a jednak i Jarosław podobne jak pani Karolina miał pojęcia, tylko je nigdy nie określił jasno i wyraźnie. Chciałam pytać daléj, gdy turkot powozu oznajmił nam gości.

(d. c. n.)

TRICOTRIN

PRZEZ

OUIDA

STUDJUM Z LITERATURY ANGIELSKIEJ

PRZEZ

Walerją Marrené.

(Dokończenie).

A lud płakał i nie chciał być pocieszonym.

Takie jest ostatnie słowo téj prześlicznéj książki, natchnionéj głęboką miłością prawdy i ludzkości.

W tém krótkiem sprawozdaniu dałam jéj szkielet zaledwie, zbrakło miejsca na określenie mnóstwa postaci ugrupowanych około głównych figur, przecież w ciągu długiéj powieści, ani przez jedną chwilę talent nie zawiódł autora, ani jedna scena nie jest niższą od drugich, maluje on równie obrazowo wykwintny świat salonów i otchłanie w których kryje się nędza i zbrodnia.

W każdéj literaturze pojawienie się podobnego autora stanowiłoby epokę, a tem bardziéj też w literaturze angielskiéj, bo Ouida odbił się daleko od uświęconych jéj szlaków. Moralnych pokrewieństw jego trudno wskazać, w każdym razie prędzéj odnaleźćby w nim można ślady genjuszu Wiktora Hugo, niż tradycyjonalnych mistrzów Albiońskiéj szkoły.

Niewątpliwie w dzisiejszéj belletrystycznéj literaturze powieścio-pisarstwo Angielskie, zajmuje pierwsze miejsce, pełno jest w niem dzieł dobrych i ludzi z talentem. Pomimo to, znaki niejakiego upadku dawały się w niéj widzieć, a prócz potężnéj indywidualności Dickensa, coraz trudniéj spotykało się z utworem napiętnowanym prawdziwą oryginalnością, natomiast coraz więcéj było i manjery sprawiającéj że autor od autora coraz stawał się trudniejszym do rozpoznania.

Wszyscy w ogóle mieli jednakie tendencje, jednaki sposób plątania dramatycznego węzła, jednaką trwogę obrażenia niewinności czytelników, jednakie przemilczenie pewnych sytuacji i uczuć, narzucone zapewne przez *cant* panujący.

Przecież temu kierunkowi nikt z pewnością protestować nie będzie, zachodzi jednak pytanie, czy trwogi téj nie posunięto zbyt daleko, czy dobrowolnie zamykając oczy na pewne położenia i usuwając je z pod pióra nie wpadnięto w przeciwną ostateczność, bo każde niewłaściwe ściśnienie, wyrabia tém samém równoważne prawidłowe zboczenie.

Ja sądzę, że wszystko co jest w życiu, w powieści znaleźć powinno miejsce, a moralność lub nie moralność stanowi, nie fakt sam ale światło na nie rzucone, sposób przedstawienia, nie zaś obrany przedmiot. Kto chce ten zawsze i wszędzie czystość pióra zachować potrafi, nawet w najdrażliwszych położeniach; czyż Tacyt opisujący orgie cezarowych czasów, stracił coś z powagi historyka, czyż powieściopisarz który powinien być historjografem społeczeństwa ma mieć mniejsze przywileje. Jeśli on odrzuci z dzieł swoich cały szereg wzbronionych uczuć, usunie tym sposobem jeden z najważniejszych dramatycznych czynników, walkę obowiązku z namiętnością. Brak ten koniecznie czem innem zastąpionym być musi, ztąd zapewne w powieściopisarstwie angielskiém, taka mnogość wykradzionych dzieci, dziwacznie zawikłanych zbrodni, czarnych tajemnic ukrycia żywych w lochach i szpitalach dla osiągnięcia ich majątku, dwużeństwa popełnionego z wiedzą lub bezwiednie, któremi tak chętnie posługuje się Braddon, Trollope, Wilkie Collins, Miss Craik, Miss Edwards i tylu innych.

Jeślibyśmy społeczność angielską według powieści sądzić mieli, to nie wiem czyby to wyszło na jéj korzyść. Zapewne kobiety tam dochowują święcie wiary małżeńskiéj, ależ za to ileż innych zbrodni kryje się w jéj łonie, jakże codzienną rzeczą jest morderstwo, z jak straszną hipokryzyą ludzie nieraz przez życie całe pracują na spełnienie niecnego zamiaru. Doprawdy z dwojga złego sądzę, iż mniejszą winą jest upadek spowodowany uczuciem, niż te wszystkie okropności, służące za zwykłe tło moralnych zkąd inąd powieści.

Ma się rozumieć mówię tutaj, tylko o krańcowych utworach, których codzień napotyka się więcéj, utwory te są nieraz bardzo zajmujące, bo talent prawdziwy z każdego przedmiotu potrafi korzyść wyciągnąć, zaznaczyć wypada jednak ten kierunek, jako konieczne następstwo rozmyślnego przemilczenia jednéj strony życia, która znów prawie wyłącznie zapanowała w powieści francuzkiéj.

Dobrowolne zamknięcie się w pewnych szrankach, zakreślenie sobie horyzontu, po za który spojrzeć nie wolno zarówno indywiduom pojedyńczem jak zbiorowém nie wychodzi na dobre. Może też dla tego poziom ogółu angielskich autorów nie jest zbyt wysoki, pełno tam poczciwych zasad, zacnych chęci i chwalebnych dowodzeń, nie brak wcale zdolności i interesu, ale wszystko to, rzadko bardzo ożywione jest ową iskrą bożą, co uderza gromem, zdobywa zamknięte serca, potęgą podniosłéj myśli i wrzącego uczucia. A to właśnie w najwyższym stopniu posiada Ouida. To stawia go od razu na innym planie i wyróżnia dzieła jego od tylu innych dobrych powieści, które czyta się ze spokojném zajęciem i składa z zadowoleniem, by wkrótce zapomnieć treści i głównych postaci. Bo treść ta i główne postacie podobne są pomiędzy sobą tak bardzo, że rozpoznać ich trudno. Są pewne figury, które z urzędu napotyka się zawsze i wszędzie np. stara panna, czynna, rozumna, poświęcona dla rodziny,—młody człowiek piękny, szlachetny i dumny i wzorowa dziewica bez indywidualności wybitnéj, cierpliwa, łagodna, znosząca los swój z poddaniem, jakikolwiek on jest lub być może. Są to wszystko bardzo sympatyczne dla czytelnika postacie, spotyka ich z przyjemnością jak dawnych dobrych znajomych, tylko znamy ich już, oceniliśmy zbyt dawno ich przymioty by sprawili wrażenie lub zbytnio zainteresowali swoim losem.

Ouida bądź to, że wyszukiwać umie nowe typy, bądź też dla tego, że bardziéj się zagłębia w nich, tworzy zupełnie odmienne obrazy. Siła talentu jest wszechwładna, przetwarza to czego dotknie, pod jego tchnieniem odmładza się świat cały, niby pod różdżką czarnoksięzką.

I nie dziw punkt patrzenia zmienia pozór przedmiotów, autor Tricotrin'a patrzy z bardzo wysoka.

Jedno tylko zarzucićby można téj powieści, że figury wchodzące do niéj zdają się na pierwszy rzut oka brane z jakiegoś idealnego świata, kto z nas kiedy spotkał takiego Tricotrin'a, takiego księcia de Lira, lub nawet Lorda Estmera, a zarzut ten zaczepia o ważną kwestję krytyczną. Z tego stanowiska wiele utworów potępić by można. Zachodzi tu jednak pytanie, gdzie się kończy pod względem charakteru granica możliwości, dla czego kiedy wolno powieściopisarzom malować zbrodnię w całéj swéj czarności, nie wolnoby im było tworzyć równie wysokich typów dodatnich. Czyż wedle słów poety nie mogą oni wysiać z tłumu ludzi, jak największe ziarna i rzucić pomiędzy nich do rozegrania dramat serdeczny. Czyż dla tego, że przedmiot jaki nie podpadł nam osobiście pod oczy, niema on egzystować w rzeczywistości? Dla mnie skoro mogę rozumieć Tricotrin'a, to mi wystarcza by serdecznie podzielać jego bóle i radości. Któż dowiedzie, iż nie mógł się znaleść pod słońcem człowiek z rozumem i sercem co miał odwagę porzucić utarte ludzkie szlaki i zadość czynić szlachetnym instynktom. Bo w figurze téj nie występuje wcale idea poświęcenia, Tricotrin szuka szczęścia i znajduje go po swojemu. Czynić dobrze jest potrzebą jego natury, on żyć nie może bez prawdy, jak bez słońca. Książę de Lira daleko mniéj jest zrozumiały, ten wielki pan bez przesądów historji, uczony, rozmiłowany tak nagle w pięknéj twarzyczce wychowanki Tricotrin'a, starzec prawie ważący się na tak hazardowne małżeństwo, i w końcu umierający cicho, bez skargi, byle ukochanéj kobiecie, nie zamącić zabawy, wszystko to składa się na całość smętną i sympatyczną, chociaż ta mglistą postać zdaje się stworzona jedynie dla potrzeby sytuacji przez autora, a nie z czystego natchnienia.

Viva to jest kobieta w całym odwiecznym tego słowa znaczeniu, czy jako dziecko garnie się do Tricotrina odwracając przecie głowę na poszepty kusiciela węża, jak jéj pierwsza prababka Ewa, czy jako wielka pani rozmiłowana sama w sobie, zapomina o dobroczyńcy, czy nawet wtedy gdy tknięta wyrzutem sumienia, oskarża się z głębi serca daremnie, by znów powrócić do dawnego życia, niepoprawna.

Wszystko to oddane jest po mistrzowsku, czytelnik widzi dobrze moralną nicość téj kobiety, a jednak nie może jéj bezwarunkowo potępiać, jest ona wierną płci swojéj, wierną ludzkości jak to w chwilach goryczy mówił Tricotrin, siła pokus była dla niéj zbyt wielką, a zresztą cóż przeciwstawić im mogła. Wielkość człowieka, który ją kochał tak bardzo przechodziła miarę jéj dziecinnych pojęć, iż dziwić się bardzo jéj postępowaniu nie można, tajemnica jéj obojętności leżała może w tych czterdziestu latach, któremi on starszym był od niéj, cyfra ta zdaje się prawdziwém fatalizmem powieści, tak dalece, iż mimo woli autora przychodzą do myśli wnioski jakich on nie stawiał. W tém życiu Tricotrin'a

przedstawionem jako ideał wierności, prawdzie i naturze brak najważniejszego dźwięku.

Dla czego on pozostał samotnym z nieukojoném sercem? Co działo się w jego młodzieńczych latach? Dla czego spotykamy go na schyłku starości bezbronnego? Czy nie jest to koniecznem następstwem przeszłości? Czy człowiek może dojść samotnie do téj równowagi moralnej, którą nic zachwiać nie potrafi. Z przykładu Tricotrina możnaby odpowiedzieć przecząco, pokusa, nieszczęście czyhać będzie nieustannie na drodze jego, a im wyższa indywidualność, tém konieczniejsze są dla niéj normalne warunki bytu. Nie owe warunki narzucone konwencjonalnemi zwyczajami, ale te niezmienne, wyryte w głębi ducha każdéj myślącéj istoty, będące wynikiem prawdziwych potrzeb moralnych, których miara i wyrażenie, leży w pragnieniach ludzkich.

Przegląd literacki

Al'Hakim *p. Józefa Ciechońskiego.* Warszawa 1872 r. w 8ce, Tomów dwa.

Powieść ta w żadnem piśmie peryodycznem niedrukowana, wyszła oddzielnie nakładem samego autora, i to w edycyi pięknéj, nawet okazałéj. Nowość to wielka dla nas, nic więc dziwnego, iż wywołała mnóstwo zdań i sądów najsprzeczniejszych, które trudno z sobą pogodzić. A chociaż nie jestem nominalnym nawet redaktorem żadnego pisma, a tém mniéj udręczonym kronikarzem tygodniowym, tylem się o téj powieści nasłuchał, iż uważam za rzecz najsłuszniejszą w świecie, podzielić się z łaskawym czytelnikiem Tygodnika temi doraźnemi wyrokami, będącemi niejako pewną częścią tego, co się zowie *vox populi.*

Otóż jedni bez żadnéj ogródki głoszą, że powieść ta jest niedorzecznością w manierowanéj prozie, że Al'hakim nie jest mędrcem, jak autor wnosić każe z saméj jego nazwy, lecz poprostu waryatem, działającym bez żadnéj konsekwencyi; gdyby choć trochę miał zdrowego rozsądku, to żyjąc szczęśliwy i poważany w Paryżu, mając obok siebie ukochaną kobietę, nie wracałby do fanatycznych ziomków, zwłaszcza, gdy wyparł się ich wiary bardziéj dla pięknych oczu kochanki, niż z wewnętrznego przekonania. A chciał nieść pomoc swojej ojczyźnie, mógł to uczynić i z daleka, nie potrzebując się narażać na nieużyteczne nikomu prześladowania. Ciągłe to sadzenie się na górno-lotne wyrażenia, często z pogwałceniem gramatyki i ducha języka polskiego, sprawia skutek emetykowych karmelków.

Drudzy znów prawią.

Od dawna nie zdarzyło się nam czytać nic podobnie pięknego, wzniosłego, coby na chwilę oderwało nas od grubych, czysto ziemskich namiętności, któremi przepełnione wszystkie nasze powieści, tak tłomaczone jak oryginalne. Jest to jedyny utwór, który w rytmicznéj prozie, na każdéj stronicy zasypuje nas kwiatami poezyi. Nikt piękniéj nie zobrazował różnicy pomiędzy Wschodem i Zachodem, między Azyą i Europą, między fanatycznym, ciemnym Islamizmem, a boską nauką opartą na miłości bliźniego i poświęceniu się. Jak majestatycznie przedstawiony Rzym z jego historycznemi pamiątkami, jak głęboka wiara i namaszczenie w słowach i postępkach tego księdza-murzyna, gotowego każdéj chwili ponieść mękę i śmierć nawet, za prawdę Ewangelii. A sama bohaterka Lucya? Jakaż to cudna postać prawdziwéj Włoszki, kobiety kochającéj bez granic i zarazem chrześcianki niczem niezachwianéj! Co do Al'Hakima, głównego bohatera, to wzniosły ideał tych z ognistemi duszami wybrańców, którzy dla zbawienia ludzkości pojawiają się od czasu do czasu, gdy niewiara, obojętność na wszystko i w parze z niemi idący materyalizm najgrubszy, szeroko rozpościerają się na świecie.

Czytelnik znający, choć powierzchownie, społeczność dzisiejszą z łatwością pozna, czyje są pierwsze słowa, a czyje drugie.

Nie koniec przecież na tem:

Jedni unoszą się nad piękną, kunsztowną formą, tak niezwykłą w naszéj literaturze, mało się zastanawiając nad treścią, którą ona pokrywa; drudzy przeciwnie ową treść, jako nacechowaną wyższą, moralną tendencją, mają za największą zasługę autorowi, pomijając szaty, w jakie ją ubrać mu się podobało.

Aby czytelnik powziął jakie takie wyobrażenie o Al'Hakimie, a przytem bezstronnie mógł wyrozumieć owe doraźne ferowane wyroki, wypada nam, chociaż w streszczeniu, podać osnowę książki.

Postaramy się na objektywnem utrzymać stanowisku, wydobywając myśl główną z powodzi metafor, alegoryi i wszelkiego rodzaju przenośni tak zwanego dawniéj *kwiecistego stylu.*

Młody Suliman, syn potężnego emira przebywa w Rzymie dla nauki (jakiéj lub czego, trudno się domyślić); widzimy go otoczonego przyborami godnemi średniowiecznego alchemika; czyta alkoran i marzy (ale nie myśli) o odrodzeniu w islamizmie swojéj ojczyzny, i o zawojowaniu, co najmniéj połowy chrześcijańskiego świata. Fantastyczne te marzenia przerywa Mar-zan, niegdyś towarzysz lat dziecinnych Sulimana, teraz renegat, missjonarz gotujący się do głoszenia prawd chrześcijańskich wśród Turków i Indjan; lud zowie go księdzem czarnym. Pomimo różnéj religii młodzieńcy ci żyli w przyjaźni. Toczą z sobą teologiczne dysputy, i... każdy przy swojem przekonaniu zostaje. Tymczasem przybywa misjonarzowi niespodziewana pomoc. Suliman spotkał przypadkiem piękną Lucyę, córkę dumnego patrycyusza rzymskiego, i pokochał się w niéj szalenie. Lucya jeszcze gorętszem zapłonęła dla niego uczuciem, pokochała go z całą namiętnością Włoszki, ale nie chce mu oddać ręki i serca dopóki nie przejdzie na wiarę katolicką. I czego nie mogły dokonać argumenta księdza, dokonały piękne oczy kochanéj dziewicy. Suliman zapomina o alkoranie, zapomina o ojczyznie, i przy pomocy przyjaciela księdza ucieka z Rzymu wraz z Lucyą, którą następnie poślubia wśród okoliczności strasznych i romantycznych, bo wśród burzy i zbójców neapolitańskich. Potem aż w Paryżu spotykamy szczęśliwych małżonków. Suliman zostaje tu na raz sławnym lekarzem i otacza Lucyę dostatkiem i wygodami. Lucya dzieląc swą miłość pomiędzy ukochanym mężem, a zrodzoną niedawno córeczką, ani wspomni o Italii, o rodzinie. Nie tak się rzeczy miały z doktorem Sulimanem, temu miłość żony i powodzenie w zawodzie lekarskim nie wystarczały, ciągle był smutny i zamyślony. Pamięć na sędziwego ojca, który go przeklął jako zdrajcę, pamięć na ukochane siostry, które go opłakiwały, nie daje mu i chwili pokoju. Postanowił opuścić stolicę Francyi, wrócić do ojczyzny i jéj się całkowicie poświęcić; zapragnął (czemu teraz dopiero?) wyrwać ją z poniżenia i ciemnoty, dając jéj poznać światło ewangelii. Żona rada nie rada udaje się wraz z córeczką za mężem do Turcyi. Po szczęśliwéj podróży, gdy już zbliżali się do brzegów rodzinnych Sulimana, powstała burza, w czasie któréj ocaliwszy cudownym sposobem jedynie życie, utracili całe swoje mienie, jakie z sobą zabrali. Nieszczęśliwych rozbitków większa jeszcze czekała burza na lądzie, niż na morzu. Niczem niewzruszony ojciec odpycha przeklętego syna, odpycha piękną synowę, co u nóg jego błaga łaski, odwraca oczy od niewinnéj ich córeczki, która daremnie wyciąga ręczęta do nieubłaganego dziadka. Zgnębiony moralnie i pozbawiony środków utrzymania, Suliman nie upadł na duchu i przez miłość dla Lucyi, i małéj Maryety na tyle zdobył się energii, że pomimo prześladowania i wzgardy, jaką mu na każdym kroku okazywali ziomkowie, osiedlił się w ustronnem miejscu i rozpoczął praktykę lekarską, przez którą spodziewał się pozyskać jakie takie utrzymanie i ułatwić sobie spełnienie religijno-cywilizacyjnego posłannictwa względem rodzinnego kraju. Turcy nie chcieli zasięgać od renegata porady lekarskiéj, a tém mniéj słuchać mądrych słów jego, owszem przeciwnie ścigali go i dokuczali mu z całą brutalną siłą pogrążonego w ciemnocie niewolnika. W takim stanie rzeczy, jedyna osłoda biednych rodziców, wdzięczna Maryeta, umarła; największy niedostatek i nędza rozgościły się pod dachem doktora Sulimana: dzieło, którem spodziewał się zreformować ojczyznę, nie czytane nawet, zwrócone mu zostało. Tyle ciosów na raz nie mogła znieść mężna dotąd patrycyuszowska córa, rozchorowała się niebezpiecznie. Suliman oddał za bezcen lichwiarzom resztki dawniejszego dostatku, bo nie miał już czem nie tylko ratować ubóstwionéj swojéj Lucyi, ale nawet wyżywić jéj, i gdy w nocnéj porze wyszedł szukać dla niéj jakiego posiłku, za zabicie psa, który go chciał rozszarpać, wtrąconym został do więzienia przez potężnego baszę..., a swojego szwagra. Gdy zbity, wynędzniały wyszedł z więzienia, już Lucyi nie zastał przy życiu; na widok zwłok ukochanéj, pękło w nim serce i skonał na miejscu.

Fatum spełniło się.

Treść zajmująca, a chociaż nie nowego pomysłu, dość jednak bogata, aby uwydatnić mogła wyższość zasady miłości bliźniego w najobszerniejszem chrześcijańskiem znaczeniu, nad ciemną i fanatyczną nauką Mahometa.

Wschód i południe, góry i morza dostarczyły autorowi barw i blasku, w które przybrał aż nadto strojnie utwór swojéj wyobraźni. Obrazowość też przemaga w powieści, albo raczéj w poemacie powieściowym pana C. Opisy tu śmiałe, wspaniałe, porywające, pełne entuzyazmu i rzeczywistéj poezyi.

Pomimo wszakże tych zalet Al' Hakim, czy to jako powieść, czy jako poemat wiele pozostawia do życzenia.

Główny bohater, mimo sympatyi, jaką budzi ku sobie, nie wytrzyma krytyki pod względem psychologicznym; życie jego i postępowanie nie dosyć wymotywowane, aby mogło być wszędzi e usprawiedliwione, ztąd powstają nierówności w charakterze, które czytelnik dopełniać i wygładzać w umyśle jest zmuszony, jeśli zechce jako tako powiązać rozstrzelone epizody i utworzyć sobie ideał bohatera, o jakim marzył autor.

Czy taki bohater jest możliwym, a co główniejsza, czy jego posłannictwo może być uwieńczone pomyślnym rezultatem? To kwestya nie łatwa do rozwiązania, i my nie probujemy też rozwiązywać jéj. Wiadomo przecież, że Turcya pragnie się odrodzić, a ludzie oświeceńsi i gorąco kraj miłujący, mianowicie też w stronnictwie tak zwanéj „młodéj Turcyi" są nader czynni, że ich działalność oparta na pierwiastkach swojskich, miejscowych, więc też ujawnia się od czasu do czasu przez powolny, ale ciągły postęp na drodze społecznych ulepszeń.

Wracając do bohatera pana C. trudno się i dziwić, że go (Al'Hakima) spotkał taki los, a nie inny; nie podobna żądać od ciemnego, żyjącego w ciągłéj niewoli ludu, aby duchem świętym przeczuł swojego

dobroczyńcę, i zaufał mu bezwzględnie. Jeśli charakter Sulimana nie jest uwydatniony w całéj pełni, toż samo da się powiedzieć o jego Lucyi: wiemy, jaką była kochanką, ale nie wiemy jaką żoną i matką. Inne postaci w utworze pana C. śmiało nakreślone, ale niewycieniowane następnie, pozostają szkicami, lub raz się ukazawszy, znikają bezpowrotnie. I mniejsza o nie, gdyby figury na pierwszym planie występujące więcéj były wykończone i w pełniejszem świetle wystawione.

Co do saméj formy obranéj przez autora, nic przeciwko niéj nie mamy, tak ona dobra jak i inna, jeśli jéj używa człowiek z twórczą wyobraźnią, dziwi nas tylko, dla czego pan C. mając wzory podobnéj kreacyi w *Nieboskiéj komedyi*, w *Irydionie*, a w części w nieporównanym *Anhellim*, nie naśladował ich twórców pod względem *wzniosłéj prostoty*. Nie trzeba być wielkim estetykiem aby wiedzieć, iż nie każdy przedmiot, nie każda okoliczność nadaje się do poetycznego obrazu, tymczasem pan C. od samego początku, aż do ostatniéj stronicy z *górnym stylem* występuje, na czem traci bardzo wiele, bo naraża się na przesadę, a co gorsza śmieszność: prawdziwie wzniosłe obrazy i najwyczajniejsze wypadki życiowe temi samemi kolorami maluje.

Trudno, prawie nie podobna, ciągle z wysokiego tonu śpiewać.

Naturalnym tego skutkiem musiały być sztuczne zwroty i dziwne przekładnie, które i rzecz zaciemniają i obrażają w wysokim stopniu ducha języka naszego.

Nie przytoczywszy piękniejszych ustępów z dzieła pana C. nie podajemy również chybionych, gdyż jak z jednemi, tak i z drugiemi co kilka stronnic spotkać się można.

J. Pracki.

Korespondencja

Lwów 1 Sierpnia 1872 r.

Zamiast utyskiwać na przykrą porę deszczową i tak ściśle z nią połączone nudy, jednostajność i brak nowin, wolimy przedstawić czytelnikom bodaj pobieżnie jedną z najznakomitszych osobliwości naszego grodu t. j. dziennikarstwo lwowskie, które zaprawdę posiada tyle ciekawych i odrębnych rysów charakterystycznych i tak niepospolitą fizjognomię, że już może dawniéj należało uczynić pod tym względem zadość obowiązkowi sprawozdawcy.

Lwów posiada dwa wielkie, codzienne pisma polityczne. Tylko dwa? zapyta może Warszawianin, który w życiu nie widział Lwowa i stosunki jego mierzy skalą warszawską. Tak jest, mamy *aż* dwa pisma polityczne, Gazetę pana Jana Dobrzańskiego i Dziennik pana Jana Lama ze spółką, odpowie niezawodnie każdy Lwowianin.

Dwa dzienniki!—to istotnie niepospolita dla naszego Lwowa cyfra. Wprawdzie bywały nieraz chwile w których mieliśmy jeszcze więcej codziennych pism politycznych, ale każdy Galicjanin ze Lwowa, z prowincji wierzył głęboko, że Galicja posiada jednę tylko Gazetę i że reszta pism jest tylko chwilową zabawką publicystyczną, nad którą niebawem organ p. J. Dobrzańskiego zaśpiewa de profundis z krokodylemi łzami w oczach. Dziś rzeczy zmieniły się zupełnie. Dziennik wychodzi już cztery lata i nikt go już nie uważa za przemijający objaw publicystycznej spekulacji, lecz uznaje w nim organ posiadający pewne koło czytelników i zwolenników. Jestto tryumf wcale niepospolity, bo dotąd nikt nie przypuszczał nawet, by wydawca Gazety, który podjazdową walką umiał zawsze podkopać kredyt kilkunastu swoich chwilowych współzawodników, okazał się wreszcie bezsilnym w obec Dziennika.

Oba te dzienniki lwowskie, a więc całe dziennikarstwo lwowskie ma pewną całkiem odrębną cechę charakterystyczną, która jest tak samo oryginalną jak szowinizm dziennikarstwa francuskiego, humbug angielskiego, dorobkiewiczowska pycha berlińskiego, a przewrotność wiedeńskiego. Tą cechą jest antagonizm gotowy do najzaciętszéj walki na każdem miejscu w każdej chwili, wysuwający się naprzód kosztem spraw tysiąc razy ważniejszych, doprowadzający konsekwencję swoją do dziecinnéj swawoli, a często nawet do formalnej niedorzeczności.

Dla człowieka nieoswojonego z lwowskiemi stosunkami, antagonizm ten w pierwszej chwili będzie bardzo dziwaczną zagadką i może go obałamucić do najwyższego stopnia. Wyobraźmy sobie np. poczciwca, który przyjechał do Lwowa i wyczytawszy przy rannej kawie w świeżo wydanej Gazecie jakiś projekt, którym się zachwycił może nie dla jego istotnej wartości, lecz dla pięknych frazesów. Taki czytelnik gotów się zaraz poświęcić dla projektu i mniemając, że każdy musi podzielać jego zachwyt, chwyta w kilka godzin potem numer wydawanego zawsze po południu Dziennika, chcąc znaleźć w nim nowe szczegóły. Zaraz po przeczytaniu pewnego ustępu, włosy stają mu formalnie na głowie. W dzienniku tym znalazł bowiem artykuł, który z niepospolitą zręcznością i zdumiewającym zapasem dowcipu zebrał wszystkie słabe strony pomysłu Gazety, i schłostawszy ją niemiłosiernie naraził całą sprawę na śmieszność, a tem samem i na niechybny upadek. Czytelnik biorący na serjo głosy dzienników, jako prawowitych reprezentantów oddzielnéj i wszechwładnej opinii publicznej, nie odważa się pójść po radę do własnego zmysłu krytycznego, lecz z konieczności staje się obojętnym. Lwowianie zaś, dla których fakt taki nie jest ani nowością ani tajemnicą, bawią się tym bardzo dobrze, zachwycają się albo szumnemi frazesami Gazety albo piekącym sarkazmem i bystrością Dziennika, dzielą się oczywiście na dwa obozy, dysputują i spierają się ze sobą na temat podany, aż w końcu zapominają o samej sprawie, dla której zobojętnieli już w pierwszej chwili. Tak więc sama sprawa chociażby najpożyteczniejsza i najrozumniejsza straci przy téj dziwacznej taktyce dziennikarskiej wszelkie znaczenie.

Ta historja powtarza się niemal codziennie, w skutek czego nabrała już w końcu dużo stereotypowej, nużącej jednostajności. Nie wątpimy, pisze np. Gazeta o godzinie 8 rano—że sprawa, którąśmy tutaj przedstawili zdoła ująć wszystkich, w których indyferentyzm nie wystudził jeszcze gorętszych i szlachetniejszych zapałów!... Zaraz o trzeciej godzinie po południu odpowiada swojej koleżance Dziennik mniej więcej temi słowy: Gazeta debiutuje z nowym bąkiem obliczonym na łatwowierne umysły, a zarówno niedorzecznym jak śmiesznym!... Pan N. N. jest człowiekiem pełnym szlachetności, talentu i najlepszych chęci—woła rano Gazeta. Pan NN. którego sprawki napiętnowała już opinia publiczna, zdołał ująć sobie jakimś bardzo przekonyjwającym środkiem tutejszą gazetę znaną nietylko z prac publicystycznych lecz także i z niezłych operacji finansowych—temi słowy odpowiada natychmiast Dziennik naszpikowawszy dla ujęcia sobie czytelników cały artykuł zazwyczaj bardzo dosadnemi dowcipami. Oczywiście przy każdej takiej walce o jakąś sprawę albo osobę, toczy się bój na dwóch skrzydłach t. j. w naczelnych artykułach, gdzie rozbierany bywa główny przedmiot sporu w kronice, gdzie obaj redaktorowie częstują się nawzajem krzyżowym ogniem, i nie zawsze przyzwoitych i godziwych zarzutów i epitetów używają.

Ależ to istny skandal, który musi podkopać cały kredyt dziennikarstwa! zawoła czytelnik. Tak jest istotnie. Skandal ten stał się już dla naszego Lwowa chlebem powszednim, a odkąd nie razi już nas tak bardzo, odtąd datuje się także zatrważający upadek wpływu i znaczenia publicystyki. Gromy miotane z dziennikarskich kolumn, przestały już u nas dawno być postrachem dla niektórych ludzi i to na nieszczęście właśnie dla tych, których w interesie społeczeństwa trzymać należało pod najściślejszym nadzorem sumiennych i poważnych organów opinii publicznéj. Mało jest już takich ludzi, którzyby i dzisiaj tak jak przed laty zadrżeli na samą myśl, że ich czyny i sprawki uledz mogą publicznéj krytyce. Każdy pociesza się tą myślą, że dzienniki straciły już dawny swój kredyt, albo też tą wcale niepłonną nadzieję, że na atak jednego pisma potrafi znaleźć obronę dosadną w ramach jego antagonisty.

Stan ten anormalny trwa już blisko od lat trzech i obecnie prawie nie ma nadziei, by się tak rychło skończył, chybaby nastąpił jakiś bardzo ważny wypadek t. j. chybaby przestał wychodzić jeden z antagonistów. Innéj ewentualności nie ma a przynajmniéj w téj chwili niepodobna przewidzieć. Wydawca Gazety bowiem obecnie jest już trochę za starym, ażeby odstąpił od dawnéj swéj zasady, że obok Gazety drugie pismo codzienne wychodzić nie potrzebuje, a nawet nie powinno: p. Lam zaś jest, jak mówią za nadto złośliwym i pewnym siebie, by odstąpił od walki, którą dotąd w porównaniu z dawniejszymi antagonistami Gazety, niezawodnie z największym skutkiem prowadzi.

Jest jeszcze jedna przyczyna, całkiem jawna, która utrudnia wszelkie zbliżenie pomiędzy obu dziennikami lwowskimi. Tą przyczyną jest sam fakt założenia dziennika, które odbyło się w niepospolicie oryginalny sposób. Zawiązany bowiem przed kilku laty dziennik powołał do siebie najzdolniejszych współpracowników Gazety, a wszyscy uczynili zadość téj odezwie. Redaktor Gazety łatwo bardzo byłby przebolał stratę swych redakcyjnych druków, gdyby w szeregu ich nie spostrzegł był także pana Lama, który był filarem Gazety, gdyż nader dowcipnemi fejletonami swojemi zjednał jej wówczas sporą liczbę świeżych prenumeratorów. Widok dezertacji najdzielniejszego pomocnika do obozu wręcz przeciwnego, zirytował mocno wydawcę Gazety. Dezercja ta była dla Gazety tym fatalniejszym wypadkiem, ile że wówczas weszły bardzo w modę dowcipne kroniki niedzielne p. Lama tak, że w pierwszéj chwili uważano upadek Gazety za ewentualność wcale możliwą, jeżeli nie zdoła znaleść sobie innego równie dowcipnego i zdolnego fejletonisty. Obawa była płonną, bo Gazeta istnieje i istnieć będzie, chociaż dotąd nikt nie zdołał i zapewnie nie zdoła zastąpić jej p. Lama. Ale za to już w pierwszéj chwili istnienia Dziennika, Gazeta musiała stoczyć ciężką walkę z swoim przeciwnikiem, a właściwie z jego dowcipnym redaktorem. Walka ta prowadzona była tak gorąco, że Dziennik zrobił redaktorowi Gazety zarzut przedajności i wezwał go, ażeby wytoczył proces i nastręczył oskarzycielowi sposobność sądowego stwierdzenia prawdziwości tego zarzutu. Proces przyszedł istotnie do skutku i skończył się przed trybunałem sądowym fatalną klęską Dziennika, a przed trybunałem opinii publicznéj kondemnatą obu zapaśników. Proces ten był punktem kulminacyjnym antagonizmu, który dotąd objawia się wprawdzie mniéj gwałtownie, ale za to systematycznie i regularnie, a ten fakt odbiera nadzieję, byśmy się kiedyś doczekać mieli usunięcia dzisiejszego stanu anormalnego.

Szkoda wielka, ze dziennikarstwo nasze po tak krótkiéj przeszłości swojej straciło zupełnie kredyt, gdyż właśnie chwila obecna jest nader przychylną dla świetnego rozwoju publicystyki. Życie publiczne, postęp w rozwoju ekonomicznym, wielki ruch na polu przemysłowym, wszystko jest warunkiem i rękojmią rozwoju dziennikarstwa, które umie trafnie i sumiennie poznać obowiązki swoje. Publiczność nasza sama to uznaje, a czując potrzebę poważnego i sumiennego organu opinii publicznéj z niecierpliwością oczekuje pojawienia się nowego pisma codziennego, któreby odstrychnęło się od swoich dzisiejszych kolegów.

Jesteśmy najmocniéj przekonani, że gdyby we Lwowie pojawiło się pismo polityczne redagowane sumiennie i poważnie, nie mieszające się we wstrętną polemikę z innemi pismami lwowskiemi, i niepowodujące się sympatjami i antypatjami osobistemi, to liczba prenumeratorów jego byłaby zaraz w pierwszéj chwili znakomitą, a z czasem nawetby się podwoiła.

Pojawienie się takiego dziennika było dla nas zawsze bardzo pożądaną rzeczą, a obecnie z tem większą natarczywością domaga się tego publiczność, gdyż w chwili gdy kraj prowadzi już kilkuletnią kampanię z żywiołem niemieckim, na żaden sposób nie wypada zrzekać się broni dziennikarskiéj, która jest zawsze bardzo ważnym, a nieraz bywa nawet decydującym środkiem. Dzisiejsze zaś dzienniki nasze pod tym względem żadnego nie wywierają wpływu, bo wiedeńskie dziennikarstwo widząc upadek ich kredytu w Galicyi, wcale nie liczy się z ich opinią w kwestyach politycznych. Jeżeli jedna z Press wiedeńskich przytoczyć musi koniecznie zdanie publicystyki lwowskiéj w pewnéj sprawie dotykającéj głównie Galicyi, to robi to w ten sposób, że na czele stawia zdanie krakowskiego pisma i polemizuje z niem poważnie, potem powtarza opinię Kraju już z daleko mniejszym szacunkiem, a w końcu potrąci o głos dziennikarstwa lwowskiego z silnym objawem lekceważenia.

Na tem przerwać wypada charakterystykę naszego dziennikarstwa, chociaż jest ona jeszcze bardzo pobieżną i niedokładną. Moglibyśmy jeszcze podnieść wiele ciekawych szczegółów ale obawiamy się, by nie straciła na tem ciekawość czytelników, dla których w takim razie sprawa ta cała stałaby się, niezawodnie bardzo niesmaczną. Wolimy na teraz przystąpić do innych spraw bieżących, a mianowicie do wystawy wiedeńskiéj, na któréj Galicya wcale nieświetnie będzie reprezentowaną. Wykazy deklaracyi wystawców galicyjskich zebrały i ogłosiły już wszystkie trzy krajowe komisje zaraz po upływie terminu do zgłaszania deklaracyi t. j. w pierwszych dniach lipca. Rezultat niepomyślny prześcignął wszelkie obawy. Wszystkie deklaracje razem wniesione do komisyi krakowskiéj, lwowskiéj i brodzkiéj nie będą mogły odpowiednio reprezentować faktycznego stanu galicyjskiéj produkcyi, przemysłu, bogactwa i t. p. Dzienniki wiedeńskie tak nieprzyjazne Galicyi będą miały wyborny temat do spotwarzania „zacofanéj prowincyi". Ale sprawiedliwość nakazywałaby im zapisać, że obojętność Galicyi nie jest jedynym powodem jéj słabego udziału w wystawie powszechnéj. Podział na trzy terytorja t. j. ustanowienie trzech komisyi w miejscach siedziby izb handlowych (we Lwowie, Krakowie i Brodach) był pomysłem wcale nieszczęśliwym. Taki sam podział Czech wywołał wielką burzę, która skończyła się na tem, że wszyscy znakomici fabrykanci czescy odmówili swojego udziału w wiedeńskiéj wystawie. Takiéj burzy nie było wprawdzie w Galicyi, ale zawsze wynikł ztąd ten fatalny fakt, że skutkiem tego osłabił się wszelki interes naszych wystawców, jaki obudził w nich sam program wystawy. Nadto komisye nie rozporządzały ani odpowiedniemi środkami i siłami, któreby im pozwalały wywiązać się należycie z poruczonego zadania.

Mimo to przecież w dziale wystawy powszechnéj poświęconym Galicyi zajmie uwagę cudzoziemców nie jeden przedmiot istotnie uwagi godny. Takim przedmiotem będzie niezawodnie zbiór kostiumów ludowych, które wysyła właściciel pięknéj biblioteki z własnego muzeum we Lwowie hr. Włodzimierz Dzieduszycki. Znajdzie się nawet na wystawie przedmiot, który niezawodnie obudzi podziwienie powszechne. Mamy tu na myśli galerję obrazów Jana Matejki, który urządza wystawę wszystkich dzieł swoich. Najświeższy obraz z galerji tego genialnego artysty przedstawiający króla Stefana Batorego pod Pskowem, znajdował się sześć tygodni na Lwowskiéj wystawie obrazów i ściągał codziennie i o każdéj porze formalne tłumy widzów do sali wystawy. Większa część widzów nie zadawala się dorywczem zwiedzeniem tego arcydzieła olbrzymiego pod względem wartości i rozmiarów. W sali wystawy codziennie spotkać się można z wielu osobami, już nie po raz pierwszy albo drugi podziwiającemi wspaniały obraz. Oczywiście w obec tak zdumiewającego utworu genialnego mistrza, krytyka staje się tylko wyrazem powszechnego podziwu, a nawet najśmielsi znawcy sztuki, którzy poprzednim obrazom Matejki wytykali drobne usterki, milczą obecnie i podziwiają olbrzymi postęp w genialnéj koncessji i mistrzowskiem wykonaniu.

Składki na cele oświaty ludowéj idą obecnie pomyślniéj, dzięki żywszéj cokolwiek agitacji. Obecnie zebrano już kilkadziesiąt tysięcy, a jeżeli dzisiejsze zajęcie się tą sprawą nie ostygnie, to w krótkim czasie doczekamy się może pięknéj sumy, która wystarczy na uposażenie szkółek wiejskich przynajmniéj w jednéj części kraju.

Na zakończenie powtarzamy za dziennikami lwowskiemi, niestety zupełnie prawdziwą wiadomość, o zgonie Adama Pajgerta w Franzensbadzie. Ś. p. Adam Pajgert był znanym z kilku bardzo pięknych przekładów poematów Byrona i równie pięknych orygiualnych utworów poetycznych. W pięknym charakterze zmarły posiadał wszelkie warunki wzorowego obywatela. Kraj i literatura straciły niezawodnie dużo w skutek nader wczesnego zgonu.

Br. Ł.

O TRZĘSIENIACH ZIEMI

I WYBUCHACH WULKANICZNYCH.

(Dokończenie.)

Wulkany na Antylach. Wulkany łańcuch ten składające, małéj są wysokości Kratery Gwadalupy, świętego Krzysztofa, Martyński i świętego Wincentego, zdają się jakby zmieniać kolejno w wyrzucaniu produktów wulkanicznych. Znaczny bardzo wybuch tego ostatniego wulkanu miał miejsce 27 kwietnia 1712 roku.

Wulkany w Guatimala. Wulkany te mało bardzo są znane, lecz że rozmieszczone są wzdłuż brzegów ściągają zawsze oczy żeglarzy. Ostre ich szczyty jakby z morza wznoszące się w niebiosy, służą sternikom za latarnie morskie. Wulkan Fuego, położony na wschód od dawnego miasta Guatimala, wyrzucał ciągle płomienie, od 1580 roku aż do początku naszego wieku. Okropne trzęsienia ziemi, które wywoływał, zmusiły do przeniesienia miasta San-Yago czyli Nowéj-Guatimali w równiny, o 7 mil na wschód od dawniejszego miejsca.

Wulkany Boliwij i wyższego Peru.

Płaskowzgórze Andów, w téj części Ameryki, otoczone jest dwoma łańcuchami gór wyniosłych, z których jeden, idący od zachodu, przedstawia ciąg nigdzie nieprzerwany czynnych wulkanów, na wysokościach większych od najwyższych szczytów Europejskich. Główniejsze wulkaniczne góry tego łańcuska są: Chipicana, Arequipa i Pichu-Pichu.

Wulkany Kwito. Olbrzymia okolica wulkaniczna ciągnąca się od północy ku południowi, składa większą część wyniosłego tego kraju. Cotopaxi, Pichincha, Tunguragua i Antisana są największemi czynnemi wulkanami téj okolicy.

Kotopaxi jest najpiękniejszym szczytem w łańcuchu Andów. Wznosi się on na 17,000 stóp, a tak regularny, że Hiszpanie powiadają o nim, iż jest na tokarni wyrobiony. Granica wiecznych śniegów, wyraźną i równą linją na nim jest oznaczoną. W 1741, La Condamine i Bonguer, uczeni francuzcy, w czasie dokonywania swych wymiarów trygonometrycznych w tych stronach podróżnikowych, mieli możność widzenia jednego z piękniejszych wybuchów wulkanu Kotopaxi, który wyrzucał słupy ognia do wysokości 5,000 stóp. Wybuch ten trwał trzy lata i zalał niezmierne przestrzenie potokami lawy.

Pichincha wyniesiona blizko o 15,000 stóp nad poziom morza, służyła w 1742 przez trzy miesiące za miejsce pobytu PP. La Condamine i Bonguer, na wysokości równéj wierzchołkowi Mont Blanc. Miasto Kwito winno swoje częste trzęsienia ziemi, bliskiemu sąsiedztwu tego strasźliwego wulkanu. Pichincha ma cztery główne szczyty. W jednem z nich ku południowi umieszczonym, nazwanym *Rnas* (ojciec) *Pichincha*, znajduje się krater wybuchowy. Ten kształt wierzchołka nadaje téj górze wulkanicznéj pozór bardziéj grzbietu łańcucha gór, aniżeli odosobnionego wulkanu.

Humboldt wdrapał się na sam jéj szczyt. Dostał się aż do brzegów krateru i mógł przyglądać się wrzeniu lawy w głębiach ciemnéj jego przepaści. Źle prowadzony przez przewodników swoich, wśród gęstéj mgły, zbliżył się zanadto do pochyłości krateru i o mało nie wpadł w przepaść ognistą.

Antisana wznosząca się wprost naprzeciw Lichinchy, jest wulkanem wygasłym od trzech wieków przeszło.

Wulkany Meksyku. Tu wszystkie wulkany rozmieszczone są na jednéj linji, idącéj od wschodu na zachód, a przecinającéj w poprzek ląd amerykański. Większa ich część czynniejsza jeszcze aniżeli wulkany tylko co opisane, a wysokość ich jest znaczna. Z téj grupy główne są; Popocatepetl, Jurillo, Colima i Larzaba.

Popocatepetl wznoszący się nie daleko miasta Meksyku: ma przeszło 1600 stóp nad powierzchnią morza. Dawniéj bardzo częste i potężne były jego wybuchy, lecz od kilku wieków wyrzuca tylko pary wodne, bez płomieni. Wulkan ten był w naszym wieku kilkakrotnie badany, a Humboldt pierwszy dokładnie zmierzył jego wysokość.

Kolima, wysoki na stóp 12,000, jest w stanie ciągłego wybuchu, lecz wyrzuca tylko parę, dym i popioły.

Jurillo, za nim wznoszący się, ma to głównie zastanowienia godne, że utworzenie się jego jest prawie nam współczesne. W czerwcu 1759 roku, żyzna równina w prowincji Valadolid, całkiem uprawna i bogatemi plantacjami okryta, doznała nagle silnego wstrząśnienia. Powstało ogromne trzęsienie ziemi

i trwało całe dwa miesiące. Po upływie tego czasu, gdy już ustawało i przestraszeni mieszkańcy powracać zaczęli, w nocy z 28 na 29 września, ziemia znowu zatrzęsła się silnie i grunt na kilku milach przestrzeni, zwolna podnosić się zaczął, w kształcie jednostajnéj, wydętéj i zaokrąglonéj massy. Z wierzchołka góry w ten sposób tworzącéj się, wydobywały się wyziewy wulkaniczne, grunt cały rozciągający się u podnóża téj wyniosłości, kołysał się i burzył, jak fale morza silną poruszone burzą. Tysiące wzgórków od 9 do 18 stóp wysokości, a bardzo do siebie zbliżone, podnosiły się i opadały co chwila. Nareszcie rozpadł się i pękł szczyt góry, a z téj utworzonéj przepaści niezmiernéj, bo mającéj blizko trzy mile kwadratowe (francuzkie cénes), buchnęły gwałtownie płomienie, żużle i stopione skały.

Wybuch trwał blizko rok. Stopniowo później zmniejszał się on, lecz dotąd nie ustał zupełnie i dziś jeszcze *Jurillo* wyrzuca kłęby płomieni. W około góry na znacznej przestrzeni, tysiące małych otworów w wierzchu spiczastych pagorków, nazwanych *hanitos* przez okolicznych mieszkańców, jedne przy drugich wznoszących się, wyrzucają nieustannie gazy i dymy. Dwie rzeki, które dawniéj przerzynały tę równinę, dziś wlewają się w przepaść głęboką, lecz ukazują się znowu na powierzchni, ku zachodowi i w punkcie bardzo oddalonym od ich dawnego koryta. Prawdopodobnie przechodzić one muszą w swym podziemnym biegu, w poprzek wulkanicznych kanałów, bo wychodzą z ziemi z temperaturą do 53° ciepła podniesioną.

Na tém kończymy opis wulkanów obecnie czynnych na kuli ziemskich. W tych trzech rozdziałach staraliśmy się streścić spostrzeżenia i wnioski najznakomitszych geologów, co do trzęsień ziemi i wybuchów wulkanicznych; z nich wykazuje się jasno geologiczna przyczyna tych dwóch łącznych z sobą fenomenów, oraz ciągłe nieustanne oddziaływanie płynnego i rozżarzonego wnętrza ziemi, na zewnętrzną jéj skorupę, z siłą, która od czasów historycznych zdaje się być jednaką.

Zanim wszakże rozstaniemy się w tym przedmiocie z czytelnikami naszymi, podać jeszcze musimy krótki opis, z rozmaitych źródeł zebrany ostatniego wybuchu Wezuwiusza, który rozpoczął się w końcu kwietnia bieżącego roku, znaczne bardzo szkody i klęski już poczynił, a mieszkańców Neapolu i okolic jego przejął niezmierną trwogą,—trwa on dotąd jeszcze, chociaż zmniejszył się znacznie. Niezmiernie ważne i ciekawe będą w tym względzie spostrzeżenia i wnioski P. Luigi Palmieri, który na obserwatorium przez siebie na szczycie wulkanu urządzonym, wśród największego niebezpieczeństwa, szczęśliwie dotrwał do końca wybuchu.

Różne wiadomości.

Gospodarstwo wiejskie. - Gazeta *Kaukaz* podaje następujące wiadomości o chowie bydła na Kaukazie. Bydło rogate hodowane na Kaukazie, należy do znanéj rasy czerkaskiéj, ale zalet téj rasy nie posiada, jest drobne i słabéj siły. Racjonalne zasady chowu bydła nie są tu znane. Chów owiec jakkolwiek rozwinięty jest na Kaukazie i za Kaukazem, ale owiec o cienkiéj wełnie jest bardzo mało; ilość ich w kraju wynosi tylko około 40,800 sztuk, co stosunkowo do ogólnéj ilości czyni 0,7%. Mięso baranów zakaukazkich jest smaczne, delikatne i pożywne. Runo miejscowych owiec bardzo grubego gatunku, słabe i krótkiego włosa, niezdatne jest na kamelarową przędzę, dla tego, że z puda wełny zaledwie można mieć 8 funtów; reszta idzie na paczesie; używane jest do wyrabiania sukna krajowego, burek, dywanów i różnych grubych tkanin wełnianych, zbywanych tylko krajowcom. W roku 1870 ilość owiec wynosiła 5,802,700 sztuk. Z gatunków kóz rozmnażanych w tym kraju, na uwagę zasługuje sprowadzona z Persji do gubernji erywańskiéj rasa „murguz" któréj wełna nadzwyczaj jest cienka i delikatna; skóra „murguza" służy za ozdobę do siodeł perskich i płacona jest około 70 rub. sztuka. Oprócz bydła gospodarskiego, za Kaukazem utrzymują do pociągu osłów i mułów, których ilość w przybliżeniu wynosi około 103,100 głów. Do tegoż celu za Kaukazem i ludność koczująca w gubernji stawropolskiéj używa wielbłądów, których ilość dochodzi do 23,500. Hodowla koni szczególniéj jest rozpowszechniona na Kaukazie, gdzie liczą 267,000 głów. Z koni krajowych najpowszechniejsza jest rasa karabachska. Wyborna ta rasa, oddawna rozmnożona na południowem Zakaukaziu z koni truchmeńskich i arabskich, odznacza się niezwykłym instynktem, czujnością i zdolnością utrzymywania równowagi, co czyni ją nieocenioną do górzystéj jazdy i do fornalki; lecz rasa ta mocno ucierpiała z powodu wtargnięcia w roku 1826. do prowincji Karabachskiéj Persów, którzy zrabowali i uprowadzili za Araks wielką ilość stad. W obecnym czasie rasa ta przychodzi do upadku z powodu braku pomiędzy miejscowymi właścicielami stadnin specjalnych znawców chowu koni i braku środków pieniężnych do nabywania stadników czystéj krwi W r. 1870 Najjaśniejszy Pan udzielić raczył 10,000 rub. z funduszów kasy państwa na kupno ogierów arabskich czystéj krwi; w tym celu posłany był na wschód specjalista i przystąpiono do założenia w Karabachu regularnéj stadniny. Po pomienionéj rasie następuje Kabardyńska czyli raczéj czerkieska, która powstała z krzyżowania koni góralskich z arabskiemi; konie kabardyńskie są silne, rącze, ostrożne, mocne w nogach i z łatwością przenoszą gorąco i zimno; roślejsze posiadane przez mieszkańców wielkiéj Kabardy, częścią idą na remontę kaukazkiéj dywizji dragonów. Oprócz tych ras, w obwodzie kubańskim u kozaków znajduje się osobna miejscowa rasa (czernomory) powstała z krzyżowania koni tureckich z ruskiemi; rasę tę prędzéj można zaliczyć do gatunku koni roboczych, aniżeli wierzchowych, chociaż w praktyce takowa używana jest po większéj części do wierzchu, bo kozacy kubańscy odbywają służbę na miejscowych koniach. Pomieniona rasa najwięcéj brana jest do remonty artylerji kaukazkiéj. W ostatnich latach mnóstwo koni wyprowadzono z obwodu kubańskiego do Austrji i Prus. W liczbie ruskich gubernij, w których rozwinięta jest hodowla bydła, kraj Kaukazki co do ilości rogacizny, trzyma trzecie miejsce (pierwsze miejsce przynależy gubernjom południowo-wschodnim i Sybe rji), co do chowu owiec piąte, a co do chowu koni jedno z ostatnich.

Wychowanie publiczne. Z Podolska piszą do *Golosu*: 21-go maja odbywało się otwarcie szkoły ludowéj we wsi Tabłowie, włości Suchanowskiéj. Szkoła mieści się w oddzielnym, wygodnym nowym budynku, wystawionym staraniem miejscowego kapłana O. Smirnowa, przy pomocy właściciela dóbr p. Til i włościan okolicznych. W ostatnich czasach włościanie okazują jak największe spółczucie dla spraw wychowania: za swe niewielkie fundusze, urządzają sami szkoły. Korespondent wspomina o znacznéj działalności starszego włości duchanowskiéj, Iwana Wasilewa, który przesłużywszy przeszło 12 lat w obowiązku, zjednał sobie ogólne zaufanie i szacunek, i niebacząc na swe lata podeszłe, niezmordowanie troszczy się o urządzenie i zabezpieczenie szkół swej włości. Przykład jego nie pozostał bez naśladowców, i tak starszy Mołodiński, niedawno wybrany, zdołał także uzyskać ofiary od włościan na sprawę wychowania. Ziemstwo i rada szkolna, w miarę funduszów starają się i ze swej strony zadość czynić potrzebom powstającym, a zadanie ich znacznie ułatwiane bywa przez moralne i materjalne poparcie włościan i osób prywatnych, lecz brak zdolnych nauczycieli przeszkadza w części zupełnemu powodzeniu. Przykład dobrych szkół, gdzie chłopiec w dwa lata nauczy się czytać, pisać, rachować i religji, działa nader silnie i niweczy wszelkie przesądy naszych starowierców, przeciwników wychowania szkolnego. W powiecie istnieją szkoły z rozmaitym charakterem, otoczeniem, wykładem i funduszami: są szkoły prywatne, niekiedy bardzo dobrze zaopatrzone pod wszelkiemi względami; są szkoły prywatne i gminne, otrzymujące nieznaczne wsparcia od ziemstwa; są szkoły domu podrzutków i nareszcie czysto ziemskie. Wszystkie te szkoły są odwiedzane przez członków rady szkolnéj corocznie; najlepsze z nich są ziemskie, gdzie kontrola i wymagania surowsze.

KORESPONDENCJA.

Panu R. Gło. *Przyjaciel Dzieci* z roku 1871 od N. 26 do 52 włącznie kosztować będzie z przesyłką pocztową rs. 2. Panu F. O. Na Prenumeratę Tygodnika Mód na kwartał 4-ty r. b znajduje się w Redakcji rs. 1. Panu Adamowi Chle. Papier listowy i koperty z literami o jaki się zapytywano, kosztować będzie rs. 2 kop. 50. Panu Lucjanowi Kro. Tygodnik Mód z pierwszego półrocza r. b. jest jeszcze do nabycia. Panu Jawo. w Kałudze. Początek powieści: *Wielki Nieznajomy* zupełnie wyczerpnięty. Pani Elizie Wań. Szkoła na fortepjan przez Hüntena kosztuje rs. 3 bez przesyłki. Pani Michalinie Bry. Dziełko pod tytułem „Kobieta jaką bydź powinna" kosztuje kop. 75. O ogrodach warzywnych kop. 30 opłata pocztowa i opakowanie 30 kop. Początki powieści wyczerpnięte. Pani Leontynie R. Suknia jedwabna niebieska, może bydź tylko ufarbowaną na kolor brązowy—na zielony nie chciano się podjąć. Ufarbowanie kosztować będzie rs. 3. Pani Leontynie Wojni: Żądanych nut nie ma w tutejszych księgarniach, dopiero za trzy tygodnie nadejdą z Lipska. Pani Bronisławie Szuli. Czternaście tomów żądanego dzieła z opłatą pocztową kosztuje rs. 9.

Pani Wandzie Prze. Krótki złoty łańcuszek damski do zegarka, jak obecnie jest modny kosztuje rs. 38. Za tę samą cenę może bydź długi, obejmujący szyję.

N 35. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera.—Do naszych Czytelników. Przygody Adasia napisane przez Marję Brühl, (Dokończenie).—Czuwanie serca, Dumka dziewczęcia przez J. Laskarysa.—Pogadanki z Ojcem. IX.—Powrót z niewoli pogańskiéj, przez Bronisławę. — Dziecię natury. — Ispahan, przez M. S. (z ryciną). — **W dodatku:** Opowiadanie z drugiéj podróży Krysztofa Kolumba, (Ciąg dalszy), (z drzeworytami). U babci na wsi.—Uczeń i jędwabnik. (wiersz) Adama Pługa.—Pamięć o przestrodze.—Poprawa, (wiersz) Jerzego Laskarysa.—Apaczowie (z ryciną).—Rozmowy z Mamą.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

MIŁOŚĆ DZIEWICY

OPOWIADANIE

Z WYPADKÓW PRAWDZIWYCH

ZASZŁYCH MIĘDZY ROKIEM

1770 a 1794

UŁOŻONE PRZEZ

ERNESTA DAUDET.

(Dalszy ciąg).

— Chcesz dobrowolnie narazić się na śmierć!..

— Chcę jechać! powtórzyła, płacząc i załamując dłonie.

Pani Reed przyciągnęła ją do siebie, i jak najtkliwsza matka pieściła i pocieszała.

— Kochane dziecię mówiła, p. de Chamoudrin powierzył cię naszéj opiece, nie możemy zezwolić na twój wyjazd. A zresztą skądże wiesz, że narzeczony twój jest uwięziony. Młody, odważny, zręczny, może zdołał uniknąć grożących mu ciosów, i może powraca do ciebie.

Dziewica nic nie odpowiedziała, wstrząsnęła tylko głową, jakby chcąc okazać, iż żadną nie łudzi się nadzieją. Pani Reed odprowadziła ją do sypialnego pokoju, i zdołała nakłonić, aby się położyła, i nie odeszła dopokąd Antonina nie zasnęła. Ale sen jéj nie trwał długo; jeszcze przed północą zerwała się z łóżka. Wyraźnie we śnie widziała Filipa ze związanemi w tył rękami, z obnażoną szyją i obciętemi włosami, w strasznym stroju na śmierć skazanych. Wyciągał ku niéj dłonie i przyzywał błagająco.

— Ach! pojadę, zawołała, ocalę go albo umrę z nim razem!

Ubrała się prędko, zabrała pieniądze i kosztowności jakie miała u siebie i ożywiona poświęceniem, z pierwszym brzaskiem dnia opuściła dom, w którym przez lat trzy gościnne znalazła schronienie. Kiedy w kilka godzin później pani Reed weszła do jéj pokoju, Antoniny nie znalazła, tylko list w którym młoda dziewczyna zawiadomiała ją o swojem niewzruszonem postanowieniu i dziękowała serdecznemi słowy za ich przyjaźń i opiekę. Pan Reed w téj chwili pojechał do Londynu, w nadziei że zdoła odszukać Antoninę i odwieść od powziętego zamiaru, ale wszelkie jego starania spełzły bezowocnie. Znikła bez śladu.

IX.

Kilka miesięcy minęło od czasu jak Dolores i Coursegol zamieszkali w domku Vauquelas'a, na przedmieściu du Roule. Coursegol wychodził codziennie w interesie prowadzonych z Vauquelas'em spekulacji; bywał w klubach, w różnych sekcjach, w Konwencji, w pałacu Egalité, a nadto odwiedzał często ówczesne znakomitości finansowe. Dolores przeciwnie rzadko kiedy opuszczała cichy swój kątek, i wychodziła tylko niekiedy odwiedzać Kornelję Bridoul lub wysłuchać mszy św. odprawianéj gdzieś w podziemiach lub na poddaszu. Tak więc wiodła życie zupełnie odosobnione, i tylko z opowiadań Coursegol'a lub Vauquelas'a, wiedziała jak straszny terroryzm panuje w Paryżu.

Jakże smutne wiodła życie! Bez przyjaciół i rówienników, zdala od wszystkiego co kochała, młodość jéj więdła jak kwiat pozbawiony słońca. Nie chorując, czuła jakby życie ją odbiegało. Od trzech lat tyle wycierpiała, tyle nieszczęść przygniotło ją swym ciężarem, iż pożegnała się nawet z nadzieją szczęścia: jakaś bezsilność zawładnęła całą jéj istotą. Rozkoszny, wdzięczny uśmiech dwudziesto-letniéj dziewicy oddawna nie ukazał się na jéj ustach, a miejsce marzeń i złotych snów dziewiczych zajęły złowróżbne sny i mary smutnéj przeszłości. Wszyscy których kochała i utraciła, przesuwali się przed wzrokiem jéj duszy, jakby w ciemnym obłoku, i tak z kolei widziała margrabinę de Chamoudrin, która otoczyła ją miłością matki, margrabiego którego ojcowskie przywiązanie takim urokiem opromieniało jéj młodociane lata; Filipa tego przybranego brata i Antoninę prawie jak siostrę, których z tak wielkiem ukochała poświęceniem,—a umarli i żywi budzili w jéj sercu jedno tylko rozpaczne uczucie wiecznego rozłączenia. A zresztą, mogłaż być pewną, że Filip i Antonina żyją jeszcze?... Gdziekolwiek się zwróciła nie widziała żadnéj dla siebie przyszłości ani opieki, i może przyjdzie jéj długo jeszcze dźwigać samotnie ciężkie brzemię życia, pełnego zmartwień i goryczy! Ach! czemuż znosząc klasztory wydarto jéj ostatnie schronienie!....

Przybyła do Paryża nie znając nikogo, a nie był to czas do robienia znajomości i zawierania przyjaźni, każdy żył w sobie i dla siebie, nie przyjmując nikogo, aby mimo woli nie wpuścić do domu emisaryuszów rusztowania. Towarzystwo Coursegol'a i Vauquelas'a nie mogło jéj wystarczyć. Coursegol był teraz całe dnie zajęty spekulacjami, a Vauquelas okazywał jéj zimną grzeczność starca, i już cała jego powierzchowność nie budziła zaufania. Długie godziny siedziała samotnie nad rachunkami, które podjęła się prowadzić i dopiero wieczorem zjawiali się towarzysze jéj smutnego życia.

Pewnego wieczora siedziała jak zwykle sama w pokoiku swoim, na dole od ogrodu. Wielkie okno wchodowe było zasłonięte ciężką firanką. Było około dziewiątéj, Coursegol i Vauquelas nie wrócili jeszcze, stara sługa zostawała w oddalonéj kuchni. Dolores siedziała z jakąś ręczną robótką, ale widocznie ręce tylko machinalnie zajmowały się pracą, myśl zaś odbiegła w daleką przeszłość.

W tem nagle dał się słyszeć gwałtowny świst wiatru i głośny szmer poruszanych nim liści, Dolores zadrżała. Wicher wzmagał się wyjąc i szalejąc, a dziki ten odgłos straszniejszym się jeszcze wydawał w pośród nocnéj ciszy. Można było mniemać że to szum rozhukanych morskich bałwanów. Gruba firanka zasłaniająca okna zadrżała i jakby odsłoniła się nieco przepuszczając gęsty tuman kurzu, płomień palących się świec woskowych zachwiał się migotając, kłęb dymu wypadł z kominka na pokój. Nareszcie, jakby dla spotęgowania wrażenia wywołanego rykiem burzy, dał się słyszeć odgłos drzwi, gwałtownie zatrzaśniętych.

— Zapomnieli zamknąć drzwi, pomyślała Dolores, i wstała aby tego dopełnić, lecz nagle stanęła jakby przykuta do miejsca. Firanka znów mocno zadrżała, lecz tym razem nie było to proste działanie wiatru, wyraźnie poszarpnęła ją jakaś niewidzialna ręka.

— O! nieba! ktoś stoi za firanką, wyszeptała przestraszona.

Pierwszą jéj myślą było, że złoczyńca jakiś zakradł się do domu, co było bardzo prawdopodobne. W jednéj chwili przypomniała sobie, że służąca już pewnie śpi, że jest zupełnie sama jedna, uczuła zimno, nogi zadrżały pod nią, machinalnie oparła się o poręcz krzesła.

— Szalona jestem! zawołała po chwili, komu też przyszłoby do głowy zakradać się tu podczas takiéj burzy... Wyraźnie wicher tak dokazuje... pójdę zamknąć drzwi.

I siłą woli zapanowawszy nad ogarniającym ją przestrachem, postąpiła kilka kroków naprzód, lecz znowu nagle stanęła,—wyraźnie dostrzegła cień ludzki poruszający się za firanką.

— O! to okropnie! rzekła przyciskając serce ręką, i słabym głosem zapytała:

— Kto tu jest?

Żadnéj odpowiedzi.

Rozpacznym wysiłkiem zdobyła się na odwagę i postępując prędko przysunęła się ku oknu, pochwyciła i podniosła firankę.

We framudze zamkniętych teraz drzwi balkonowych stał oparty o nie mężczyzna, Dolores tak była przestraszona, iż nie śmiała spojrzeć na niego i wcale nie widziała twarzy.

— Kto jesteś? zapytała ledwie dosłyszanym szeptem.

Jeszcze nie zdążyła tych trzech słów wymówić, a już zapytywany poskoczył nagle, wołając:

— Dolores! Dolores!

— Filip!

I padła w objęcia tego, którego nie śmiała już nazywać bratem, tego o którym myślała nieustannie przez trzy lata bolesnego rozłączenia. I pozostali tak kilka minut, gwałtowne wzruszenie nie dozwalało im słowa przemówić.

Dolores wlepiła oczy w ukochanego; był to Filip, ale jakże zmieniony! Postarzał, schudł, nieogolona broda, ubiór w nieładzie, oczy zaćmione, blady, usta zsiniałe. Długo patrzyli na siebie, nareszcie Dolores widząc jak straszne ślady cierpienia wyryte były na twarzy Filipa, gorzkiemi zalała się łzami.

— Dolores! ukochana moja, ciebież to widzę nareszcie... ciebie którą daremnie szukałem lat tyle!..

Dziewica patrzyła w oczy jego, śmiała się i płakała razem, a on ogarniał kochającem wejrzeniem całą postać ukochanéj. Przysunęła się do drzwi balkonowych i przekonawszy się, że są dobrze zamknięte zapuściła firankę i posadziła go w fotelu przed kominkiem.

— Wszak bardzo jestem zmieniona? zapytała.

— Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek, odpowiedział. Zarumieniła się i spuściła oczy, po chwili zapytała znów.

— Jakim sposobem znajdujesz się w Paryżu?

— Przybyłem tu z kilku towarzyszami w zamiarze ratowania królowéj. Smutne rozczarowanie! Marja Antonina skończyła na rusztowaniu, towarzysze moi uwięzieni, ja jeden zdołałem uciec..

— Ale w takim razie jesteś ścigany, poszukiwany, a może gonią za tobą agenci komitetu bezpieczeństwa.

— Przez ośm dni ukrywałem się u jakiegoś poczciwego człowieczyny, który ulitował się nademną, i miałem nadzieję, że będę mógł pozostać u niego,

dopókąd nie upatrzę sposobności opuszczenia Paryża. W tem nagle onegdaj powiedział mi, iż podejrzywano go że ukrywa u siebie nieprzyjaciół narodu, że lada chwila wysłańcy Robespierra mogą wpaść i zrewidować jego mieszkanie. Jeśli więc nie chcę być przyczyną jego śmierci, powinienem uciekać natychmiast. Wyszedłem też z mojej kryjówki, i odtąd dzień i noc błąkam się po najodleglejszych, najpuściejszych ulicach Paryża, i do żadnych drzwi zakołatać nie śmiałem, aby zamiast schronienia nie wydano mnie w ręce katów. Dziś wieczorem, zgłodniały i zziębnięty, spotkałem o kilka kroków stąd jednego z dawnych lokai dworskich, który kiedyś zaciągnął względem mnie dług wdzięczności. Sądząc że nie zapomniał o tem, dałem mu się poznać. Nędznik znieważył mnie grubiańskiemi słowami i chciał zaaresztować, lecz instynkt zachowawczy dodał mi sił. Rzuciłem się na niego, przygniotłem do ziemi, a sam zacząłem uciekać przez pusty plac graniczący z tym ogrodem Przeskoczyłem mur i dostawszy się do ogrodu zobaczyłem tu światło; wpadłem co prędzej przez przymknięte tylko okno, i Bóg w niezmierzonem miłosierdziu swojem, dozwolił, aby te przebyte cierpienia i obawy doprowadziły mnie do ciebie, której dotąd szukałem daremnie. Jestem więc przy tobie, widzę cię znowu, o! teraz umrę spokojny i szczęśliwy...

— O! nie mów o śmierci! zawołała Dolores; Bóg cię tu przywiódł, jesteś ocalony. Nie odejdziesz stąd!..

I nagle zawachała się, przypomniawszy sobie że nie jest u siebie; Filip dostrzegł to wachanie.

— Czy jestem u ciebie?

— Nie; jest to mieszkanie obywatela Vauquelas, wspólnika Coursegol'a.

— Vauquelas! Biada nam!

— Czemu?

— Bo jest to nazwisko człowieka, który jest zausznikiem Robespierr'a, który najwięcej może przyczynił się do wykrycia naszego sprzysiężenia w celu oswobodzenia królowéj.

Dolores krzyknęła zakrywając twarz rękami.

— Co tu począć, zawołała.

— Czy nie ma Coursegol'a? mógłby mnie przechować.

— Nie ma go jeszcze, wraca bardzo późno w nocy. Ah to dobra myśl, zaprowadzę cię do jego pokoju, tam nikt nigdy nie wchodzi, a gdy przyjdzie uprzedzę go o tem.

Filip zgodził się na to.

— Ależ zapominam żeś głodny i spragniony, poczekaj, muszę postarać się o jakiś posiłek.

Powróciła wkrótce przynosząc butelkę wina, chleb i jakieś zimne, pozostałe z obiadu pieczyste. Ustawiła wszystko na stoliku, który przysunęła do Filipa siedzącego w fotelu, i stała tak przed nim obejmując go wzrokiem. Serce biło jéj gwałtownie, palące łzy spływały po policzkach.

Powoli Filip zaczął odzyskiwać siły, ciepło i posiłek ożywiły go; blady rumieniec wystąpił na lica, uśmiech nadziei zaigrał na ustach. Teraz dopiero Dolores odważyła się wymówić imię, które od jakiegoś już czasu miała na ustach.

— Nic mi nie mówisz o Antoninie.

— Antonina, odpowiedział po chwili, żyje i jest zdrowa; powierzyłem ją opiece zacnych ludzi, mieszka u nich w okolicach Londynu.

— Wszak zaślubiłeś ją? zapytała spuszczając oczy.

— Nie.

— Przecież było to wolą ojca twego.

— Milcz, przez litość, zawołał. Gdybym nie był odzyskał ciebie, gdybym się przekonał, żeś wykonała śluby klasztorne, może miałbym odwagę spełnić przyrzeczenie wymuszone ostatnią wolą ojca. Ale dziś!..

— Dziś ...

— Antonina nie może zostać moją żoną......

— Czy przestała cię kochać?

Filip pochylił głowę, nastała chwila milczenia,— nareszcie zerwał się prędko, mówiąc:

— Po cóż miałbym udawać i ukrywać uczucia moje? Dolores, ja kocham ciebie! kocham cię równie gorąco i namiętnie, jak wówczas gdy w ogrodzie w Chamoudrin wyznałem ci miłość moją. Ani przeszkody, ani tak długie rozłączenie nie zdołało obrazu twego zatrzeć w méj duszy, i widać Bóg nie potępia téj miłości, kiedy cudem prawie dozwolił mi cię odnaleźć. O! przysięgam, że odtąd nic nas nie rozłączy.....

Dolores słuchała słów tych w niemem zachwyceniu. Nie miała siły przemówić, rozwiać lubych nadziei jakiemi ukochany poił się w téj chwili, wzrnszających ją tem żywiéj, iż dowodziły niezłomnéj wierności Filipa, którego serce nie zmieniło się mimo tylu przejść i trzechletniego rozłączenia.

— O! gdybym umiał wypowiedzieć ci, jak bardzo byłem nieszczęśliwy postradawszy ciebie, mówił daléj z uczuciem. Tyś chyba nie pojmowała opuszczając miejsce w którem przeżyliśmy razem dziecinne i młodociane lata nasze, że zabierasz cząstkę méj duszy. Od owéj chwili życie moje było jednem długiem pasmem walki i boleści, chciałem zapomnieć.....pragnąłem przestać kochać tę co odpychała miłość moją .... zmuszałem się do długich rozmów z Antoniną, którą nakazywałaś mi poślubić.. daremnie!.. obraz twój niezatartemi rysami wyrył się w méj duszy, i pozostanie w niéj na wieki. Nie żądaj więc abym się żenił z Antoniną, to ofiara przechodząca moje siły....ja tak kocham ciebie....

Dolores cierpiała niewypowiedzianie; kochała Filipa, nie było ofiary którejby z rozkoszą nie poniosła dla jego szczęścia, a jednak wierna obowiązkowi jaki na nią wkładała wdzięczność i przyrzeczenie uczynione ojcu jego, musiała zranić odmową to wierne i kochające serce.

— Przestań, rzekła, nie powinnam słuchać słów takich. Przyrzekłeś Antoninie i powinieneś zostać jéj mężem. Zapomnij o mnie Filipie.... wszystko, wszystko nas dziś dzieli.....przyrzeczenie twoje...miłość Antoniny....wola twego umierającego ojca...... i dodała, jakby natchniona, ślub jaki uczyniłam sobie u stóp ołtarzy, aby życie moje poświęcić Bogu....

Filip zerwał się i rozpacznie załamał dłonie; mógłże żądać, aby złamała ślub uczyniony Bogu?... Dolores czuła, że może zbrakłoby jéj sił do dłuższéj walki, rzekła więc do Filipa:

— Lada chwila pan Vauquelas może nadejść; źle byłoby gdyby cię tu zastał. Pójdź, zaprowadzę cię do pokoju Coursegol'a tam będziesz bezpieczny.

Filip rzucił się na krzesło.

— O! to już za nadto! zawołał, Bóg nie wymaga ofiar przechodzących siły ludzkie. On to zbudził w sercach naszych miłość...i samo dzisiejsze spotkanie nasze ma w sobie coś Opatrznościowego. Dolores! miéj litość nademną....i nad sobą.

W téj chwili w sąsiednim pokoju kroki słyszeć się dały:

— O nieba! to Vauquelas, zawołała przerażona, zginęliśmy!

— Uspokój się, może nie wejdzie.

Skinieniem ręki dała znak milczenia, i postąpiwszy ku drzwiom nasłuchiwała w nadziei, że może przejdzie nie zatrzymując się. Zawiodło ją oczekiwanie, Vauquelas zapukał dwa razy:

— Obywatelko Dolores, czy mogę wejść?

— Nie! jestem już w łóżku.

— Wstaj i ubieraj się prędko; przed chwilą widziano, iż człowiek jakiś przeskoczył mur i wszedł do ogrodu, poszukują go, patrol wejdzie tu zaraz.

— Zaraz wstanę, odpowiedziała, pragnąc zyskać na czasie.

— Bądź spokojna, rzekł cicho Filip; wyjdź do ogrodu, noc jest ciemna, schowam się między drzewami; wrócę jak odejdą.

Potwierdzająco skinęła głową i na palcach zbliżyła się do drzwi oszklonych, aby niemi wypuścić Filipa. Po cichutku otworzyła połowę okna, Filip chciał wychodzić, nagle porwała go za rękę i krzyknęła. Swiece palące się na stoliku rozjaśniły część ogrodu, ujrzała pięciu uzbrojonych gwardzistów narodowych zbliżających się ku domowi; Filip chciał wybiedz, żołnierze wzięli go na cel. Widząc niemożność ratowania się pozostał w pokoju.

W tejże chwili wszedł Vauquelas; Dolores z rozpaczą rzuciła się ku Filipowi, jakby pragnąc zasłonić go sobą. Nastała chwila milczenia; jednym zadziwienie, drugim przestrach słowa wymówić nie dozwalał. Żołnierze wszedłszy do pokoju, poglądali z szyderstwem na pięknego młodzieńca i urocze dziewczę; widać było iż posądzali ich o miłosną schadzkę, wnosząc że nie spiskowców ale kochanków dwoje spłoszyli.

Vauquelas wodził w około badawczym i gniewnym wzrokiem, obawiał się trochę, aby sama obecność patrolu w jego mieszkanin i aresztowanie jakiegoś nieznanego mu człowieka, nie ściągnęło na niego posądzenia. Chciał coś mówić, w tem sierżant odezwał się do Filipa:

— Co tu robisz i kto jesteś?

Zanim Filip odpowiedział, Vauquelas wykrzyknął:

— Kto on jest? łatwo zgadnąć, że jest nieprzyjacielem, wrogiem rzeczypospolitéj, i nikczemnie zakradł się do mego domu, nie zważając, że naraża dobrą sławę téj dziewczyny i mój patryotyzm mógłby podać w podejrzenie.

Dolores drgnęła, zarumieniła się i rzekła zmięszana:

— Mylisz się, obywatelu Vauquelas, to jest mój mąż.

— Twój mąż!... więc jesteś mężatką?...

— Tak jest;—miałam powody dla których dotąd ukrywałam nasze małżeństwo.

— Ależ Coursegol. .

— I on nie wiedział o tem, odrzekła spuszczając oczy.

— Jéj mąż! powtarzał machinalnie Vauquelas.

Dolores spojrzała na niego błagalnie; jednem słowem mógł oddalić żołnierzy. Ale on właśnie przypominał sobie opowiedzianą mu przez Coursegol'a historję Dolores i zaraz pomyślał sobie, że przybrana córka margrabiego de Chamoudrin szlachcica tylko poślubić mogła, a tem samem mąż jéj musiał być zaciętym przeciwnikiem nowego porządku rzeczy, jednym z tych którym komitet bezpieczeństwa publicznego nie dawał pardonu. Tak więc pomimo blizkich stosunków z Robespierre'm, już samo aresztowanie w domu jego podobnéj osobistości mogło go zgubić, trzeba więc było prędko temu zaradzić.

— Dla czegoż ukrywałaś przedemną że jesteś zamężną?

— Dla powodów czysto osobistych.

— Czemuż mąż twój zakradał się do domu mego jak złoczyńca, zamiast swobodnie wejść drzwiam.?

— Aby małżeństwo nasze utrzymać w tajemnicy.

— Jest w tem coś podejrzanego, rzekł dowódzca patrolu, i zwracając się do Filipa, zapytał:

— Jak się nazywasz i skąd przychodzisz?

Gdy Filip zawachał się chwilę, sierżant dodał:

— Pójdziecie ze mną oboje do wydziału komitetu tam będziecie się tłomaczyć, i jeśli udowodnicie iż nie jesteście spiskowcami, będziecie wypuszczeni.

— O! tak, tak! zabierz ich obywatelu, to będzie

najlepiéj, zawołał Vauquelas, uradowany, że wszystko tak prędko się skończy.

Dolores widziała teraz iż wybieg jéj się nie powiódł; zgubiła siebie nie ocalając Filipa. Ale co teraz czynić, jakim sposobem ratować ukochanego?

Filip zrozumiał na jakie niebezpieczeństwo narażała się Dolores, i pragnąc ją ocalić, zawołał:

— Chcąc ocalić zupełnie obcego sobie, to młode dziewczę powiedziało nieprawdę. Nie jestem jej mężem, nie zna mnie zupełnie; przed chwilą uciekając przed ścigającym mnie człowiekiem, wpadłem tu przez otwarte okno, prosząc aby mnie ukryła. Jestem emigrantem, nazywam się margrabia Filip de Chamoudrin.

— Filipie, zgubiłeś się! wyszeptała Dolores.

Usłyszawszy słowa Filipa, Vauquelas wrzasnął:

— A! Filip de Chamoudrin! a więc jesteś bratem tej dziewczyny... jesteś emigrant, wróg Rzeczypospolitéj i ona chciała cię przechować, poważyła się wpuścić do mego domu zdrajcę, i nieprzyjaciela narodu? Aresztujcie ich oboje, krzyknął z wściekłością.

Żołnierze rozdzielili się na dwa oddziały i otaczając Filipa i Dolores uprowadzili ich z sobą. Działo się to około godziny jedenastéj.

X.

Coursegol powrócił około północy. Przechodząc koło pokoju Dolores, zadziwił się ujrzawszy światło, wiedział że zwykle po dziesiątéj udawała się na spoczynek, lękał się czy nie jest cierpiąca. Zapukał lekko do drzwi, a nie odbierając odpowiedzi otworzył je i wszedł do pokoju. Swieca pozostała paliła się na stoliku, łóżko było nierozebrane; Dolores nie było w pokoju.

Co się to stało? pomyślał i serce zabiło mu niepokojem.

Drzwi do przyległego pokoju były tylko przymknięte, udał się tam w nadziei, iż może zastanie Dolores,—lecz i tu jej nie było. Coraz więcéj zaniepokojony poszedł aż do pokoju Vauquelas'a! Zastał go siedzącego na fotelu bladego i rozdrażnionego.

— Gdzie jest Dolores? zapytał.

— Coursegol'u, dla czego nie uprzedziłeś mnie, że ta dziewczyna przyjmuje tajemnie w domu moim Filipa de Chamoudrin?

— Co ty mówisz? zawołał zadziwiony.

— Mówię że przyjmowała w domu moim zdrajcę i spiskowca, który chciał uwolnić ex-królową i małego Kapeta posadzić na tronie. Ona była jego wspólniczką, schwytano ich na gorącym uczynku.

— A więc Filip de Chamoudrin żyje! zawołał uradowany Coursegol, który to jedno tylko zrozumiał ze słów Vauquelas'a.

— Tak, żyje, na moje nieszczęście... a ta Dolores którą przyjąłem do domu mego na twoje zaręczenie, ukrywała tu tego wściekłego rojalistę, jednego z przywódzców spiskowych, którzy mieli zamiar uprowadzić z więzienia wdowę Kapeta.

— Ah! rozumiem, odrzekł, domyślając się, że Filip jakimś wypadkiem schronił się do domu Vauquelas'a. Ale bądź spokojny, obywatelu, młodzieniec ten nie zabawi tu długo... wyprawimy go cichaczem i nikt nie dowie się o jego tu bytności.

— Już zapóźno.

— Jakto?

— Oboje są aresztowani, on jako zdrajca spiskujący przeciw rzeczypospolitej, ona jako jego wspólniczka.

Coursegol zaklął okropnie i porywając go za kołnierz zawołał:

— Ach! nędzniku! ty ich wydałeś!..

— Dusisz mnie! zawołał Vauquelas, przytłumionym głosem.

— Gdzie oni? gdzie oni? krzyczał Coursegol.

— Puść mnie! nie mogę mówić...

Coursegol puścił go, ale stał przed nim strasznym miotany gniewem. Vauquelas drżał z przestrachu; nie pomyślał dotąd, że Coursegol może zemścić się nad nim za uwięzienie Filipa i Dolores.

— Odpowiadaj, krzyknął znowu Coursegol.

— Patrol wszedł do mego domu goniąc za uciekającym Filipem, który wpadł przez mur do ogrodu, a ztamtąd do pokoju Dolores. Chcąc go ocalić, powiedziała że to mąż jej, on znowu zaprzeczył temu nie chcąc jej narażać, i ta niezgodność w odpowiedziach była powodem że oboje zostali przytrzymani i zaprowadzeni do więzienia.

— Czemuż nie starałeś się ich ocalić? Dość ci było oznajmić, że znasz i możesz ręczyć za nich.

— Mówiłem, ale nie chcieli ich uwolnić.

— Kłamiesz, nędzniku! jestem przekonany iż sam ich wydałeś z obawy o twoje pieniądze. Ale biada ci! I tak z groźną miną przystąpił do Vauquelas'a, drżącego jak listek.

— Miéj litość nademną! zawołał.

— A ty miałżeś litość nad niemi? nędzniku... wydałeś ich na śmierć w chwili, gdy Bóg ulitował się i połączył ich po tak długiem rozstaniu... Biada! biada ci! powtarzam, musisz umierać...

I bezlitośny jak przeznaczenie, poskoczył ku Vauquelas'owi z podniesionym nożem.

— Stój! wołał tenże w najwyższem przerażeniu,— mogę ich ocalić.

Coursegol w téj chwili opuścił rękę uzbrojoną nożem...

— Nie wierzę ci, nędzniku! jakim sposobem mógłbyś tego dokonać! Więzienia komitetu bezpieczeństwa publicznego rusztowaniu tylko oddają swoje ofiary... to jedyny sposób wyjścia z ich murów.

— Dam strażnikom tak wiele pieniędzy, że wypuszczą twoich protegowanych.

— Żaden strażnik za największe nawet pieniądze nie uczyni tego coby własnem przypłacił życiem.

— To przekupię sędziów trybunału rewolucyjnego i wydadzą wyrok uniewinniający.

— I to rzecz niemożliwa; wezmą pieniądze a potem skażą ich na śmierć. Widzisz więc, iż jesteś sprawcą niepowrotnego nieszczęścia, zemsta moja cię nie minie... i znowu nóż błysnął przed oczami Vauquelasa.

— Litości! litości! krzyczał, a zęby dzwoniły mu ze strachu, udam się do samego Robespierre'a.

— Wiesz dobrze, że ci odmówi.

— Mam wielki wpływ na niego, i wiem co powiedzieć, aby go skłonić do mojéj prośby.

— Nawet gdy się dowie, iż chodzi o jednego z tych którzy dostali się do Paryża w celu oswobodzenia królowéj?

— Przekonasz się że znajdę sposób uwolnienia ich, i składając ręce upadł na kolana.

— Coursegol pomyślał chwilę. Dobrze, rzekł wreszcie, tymczasowo daruję ci życie, ale pod jednym warunkiem...

— Vauquelas odetchnął. Powiedz co mam czynić, będę posłuszny.

— Chcę abyś jutro jak najraniéj przyniósł mi blankiet z podpisem Robespierre'a, mocą którego mógłbym wyprowadzić z więzienia dwie zamknięte w niem osoby.

— Dobrze.

— Daléj trzeba żeby Robespierre nie domyślał się nawet o czyje uwolnienie chodzi.

— I na to zgoda.

— Jeśli to zrobisz przebaczę ci dzisiejszą zbrodnię. Tylko nie oszukuj mnie; może masz zamiar żądać od Robespierra, aby mnie kazał uwięzić i stracić, i tym sposobem uwolnić się odemnie, ale nie łudź się nadzieją. Natychmiast idę do piwnicy, siadam przy wejściu prowadzącym do lochu w którym ukrywasz twoje skarby, i tam oczekiwać będę żądanego blankietu. Jeśli więc w jego miejsce przybędą żołnierze mający mnie aresztować, odkryje im twoją skrytkę i ogromne przechowane w niéj summy, a poznają prawdziwy powód twego okrzyczanego patryotyzmu.

To powiedziawszy wyjął z kieszeni nabitą kru cicę i trzymając ją w ręku odsunął taflę pokrywającą wejście i zszedł do lochu.

Vauquelas drżał ze strachu i złości, i jak błędny zaczął biegać po pokoju. Sam nie wiedział co ma czynić. Coursegol odgadł doskonale jego zamiary i umiał im zapobiedz. Już teraz nie mógł zaskarżyć Coursegol'a, bo ten mógłby go zgubić jednem słowem: dość mu było wskazać miejsce w którem Vauquelas ukrywa tak ogromne summy. Ach! jakże teraz żałował utraconéj młodości, jak bolał nad starością i słabością swoją!.. Gdyby miał z jakie 20 lat mniéj, nie uląkłby się walki z Coursegol'em, może udałoby mu się pokonać go i zabić... a dziś musi pochylić głowę i uledz jego woli. Noc całą spędził bezsennie, nad ranem zerwał się i wszedł do Coursegol'a. Siedział przy wejściu do lochu z pistoletem w ręku.

— Czy masz żądany blankiet?

— Właśnie mam iść po niego.

— Idź, ale jeśli ci życie miłe nie wracaj bez niego.

Vauquelas wyszedł z lochu, nogi drżały pod nim; zwrócił się ku ulicy Saint-Honoré na któréj mieszkał Robespierre. Znał on oddawna sławnego tego członka Komitetu bezpieczeństwa publicznego. Od lat młodocianych łączyła ich przyjaźń i niejednokrotnie wzajemnie, ważne oddawali sobie usługi. Pomimo to Vauquelas wiedział dobrze, iż nic na świecie nie zdoła skłonić nieugiętego w zasadach swoich Robespierra do przekroczenia tego, co uważał za swój obowiązek. Słuszność każe przyznać, że nawet najdziksze, najwięcéj krwiożercze postanowienia swoje, człowiek ten wydawał w dobréj wierze. Tam gdzie mu się zdawało, że idzie o dobro kraju, nie zważał choćby na jak najważniejsze względy uboczne. Stał niezachwianie na raz obranéj drodze i nigdy żadnego nie podpisał ułaskawienia. Czytając jego dzieje nie wiemy co podziwiać więcéj, czy dzikość fanatycznych jego przekonań, czy niezachwianą wiarę w siebie i zasady swoje. Vauquelas znał zimną nieugiętość charakteru tego fanatyka rewolucyjnego, nie miał więc najmniejszéj nadziei, aby zdołał go rozczulić smutnym losem Filipa i Dolores lub przedstawieniem trudności własnego położenia, i dla tego umyślił zdradą lub podstępem pozyskać żądany blankiet.

Przybywszy do Robespierra nie zastał go w domu, ale że służba znała go doskonale mógł więc swobodnie wejść do mieszkania. Minął kilka pokoi i wszedł do gabinetu trybuna, mówiąc iż tam czekać będzie jego powrotu. Jak tylko drzwi się zamknęły, zbliżył się do biórka i zaczął szukać między papierami. Były tam plany mających się wydać rozporządzeń, listy proskrypcyjne, raporta nadesłane z prowincji, doniesienia i denuncjacje. Wszystko Vauquelas przerzucał obojętnie, i dopiero postrzegłszy na czystym arkuszu podpis Robespierre'a o mało nie krzyknął z radości.

Ta upragniona karta czystego papieru, stanowiła ostatnią stronnicę jakiegoś długiego raportu policyjnego, przedstawionego komitetowi bezpieczeństwa publicznego, na któréj wszechwładny trybun położył

swoją wizę. Vauquelas bez namysłu oddarł od akt tę nieoszacowaną kartę i zmieniając pismo nakreślił nad podpisem: „Wypuścić natychmiast z więzienia obywatela i obywatelkę, posiadających niniejszy rozkaz“ poczem akta od których oddarł kartę z podpisem wpakował pod stos papierów, a sfałszowany rozkaz schował do kieszeni. Ręce mu drżały, nogi chwiały się, rzucił się na fotel, a po chwili przyszedłszy do siebie zaczął głośno chodzić po pokoju i nareszcie wyszedł, pomrukując jakąś patriotyczną śpiewkę.

— Nie mam czasu czekać dłużéj, rzekł do służby zgromadzonéj w przedpokoju, ale będę dziś jeszcze.

Zaledwie minął mieszkanie trybuna, zaczął cwałem biedz do domu; stanął przed Coursegol'em zmęczony i zadyszany:

— Masz czegoś żądał! zawołał, podając mu papier.

Coursegol wziął go, obejrzał bacznie, aby się przekonać czy podpis nie jest fałszywy; i po chwili rzekł spokojnie:

— Dobrze, idę teraz probować ocalić Filipa i Dolores, ale pamiętaj jeśli usiłowania moje będą bezskuteczne, nie minie cię kara, zemszczę się na tobie okrutnie. Wstał, włożył papier do kieszeni i skierował się ku drzwiom; tu jednak zatrzymał się jakby namyślając się, i nareszcie rzekł:

— Od sześciu miesięcy pracujemy wspólnie, ułatwiłem ci wiele korzystnych bardzo operacji; otóż zapewnie będę potrzebował dużo pieniędzy dla dokonania zamierzonego ocalenia ich, i dla tego żądam należnéj mi części zysku.

— Ile żądasz?

— Pięćdziesiąt—tysięcy franków, połowę w złocie, połowę w assygnatach.

Vauquelas odetchnął; pewny był że Coursegol zażąda dziesięć razy więcéj. Wstał i wyliczył żądaną summę. Coursegol wziął pieniądze i poszedł szukać Filipa i Dolores.

Jakim sposobem dowiedzieć się w jakiem więzieniu ich zamknięto? myślał sobie. A było to zadanie bardzo trudne, gdyż wówczas więzień było tak wiele. Luxembourg, l'Abbaye, Force, Karmelitów, Madelonnettes, Saint-Lazarre, Porte-Libre, i wiele pomniejszych. A może ich rozłączono i każde do innego poprowadzono więzienia?... Nie wiedząc co robić udał się do Bridoul'a zasięgnąć jego rady.

We wszystkich prawie ówczesnych więzieniach, więźniowie nie powoływani jeszcze do stawania przed sądem, pomimo całéj surowości, używali przecież pewnéj swobody. Jeźli ktoś posiadał jakieś zasoby pieniężne, mógł łatwo zjednać usłużność strażników, pisać i odbierać listy, dostawać lepszą żywność, a czasem nawet zobaczyć się z kimś z odwiedzających. Czy to że zbyt wielka liczba więźniów nie dopuszczała nader ścisłéj kontrolli, czy może wiedząc, że każe gillotynować każdego co mu raz w ręce wpadnie, komitet bezpieczeństwa patrzył przez szpary na te nadużycia nadzorców więzień. Żony i dzieci bez trudności mogły odwiedzać ojców i mężów; przy każdem więzieniu byli nawet znani i upoważnieni posłańcy, którym wolno było w każdym czasie wchodzić do więzień, z warunkiem, aby część zysków oddawali dozorcom. O tem wszystkiem dowiedział się Coursegol od Bridoul'a.

— Jestem, rzekł mu, w bardzo dobrych stosunkach z jednym z tych przychodnich posługaczy więziennych; dobry to człowieczyna, i za nie wielkie wynagrodzenie zgodzi się wziąść cię na pomocnika, będziesz więc mógł wchodzić swobodnie do wszystkich więzień, dopóki nie wynajdziesz tych co szukasz.

Tegoż jeszcze wieczora Bridoul poznajomił go ze swoim przyjacielem, umówili się o warunki i zaraz nazajutrz rozpoczął poszukiwania. W nie spełna trzy dni dowiedział się i przekonał: że Dolores została uwięziona w Conciergerie, a Filip w Madelonnettes.

XI.

Conciergerie.

Po zaaresztowaniu zaprowadzono Filipa i Dolores do sekcji du Roule; weszli do sali w któréj było już kilka osób tegoż wieczora aresztowanych, lecz że delegat komuny mający prowadzić śledztwo już się oddalił, zatem dowódzca straży polecił, aby więźniowie spędzili noc w miejscowym areszcie. Wprowadzono ich do wielkiéj izby oświetlonéj bladem światłem lampki; na ziemi leżało kilka sienników, kto chciał mógł udać się na spoczynek. W rogu pokoju stał stary, obdarty fotel, Dolores rzuciła się na niego. Filip na ziemi usiadł przy jéj nogach, i tak przesiedzieli noc całą. Inni aresztowani porzucili się na siennikach i we śnie szukali ulgi.

Czuwając tak noc całą, wzajemnie powierzali sobie myśli swoje, i choć nie łudzili się co do losu jaki ich czeka, jednak te kilka godzin spędzonych razem, minęły im szybko jakby w gorączkowem upojeniu. Filip należał do spisku zawiązanego w celu oswobodzenia królowéj i w tym celu powrócił z emigracji, ona dała mu przytułek—oboje więc równie byli winni i nie mogli spodziewać się przebaczenia; wiedzieli też dobrze, że lada dzień stawieni będą przed trybunałem rewolucyjnym, i skazani na gilotynę za spiskowanie przeciw rzeczy pospolitéj i zamiar przywrócenia Bourbon'ów. Szaleństwem byłoby łudzić się nadzieją, że ich młodość i miłość wzruszy nieubłaganych sędziów, trzeba więc było gotować się na śmierć. Patrzeli na siebie i łzy błyszczały w ich oczach; oboje nie lękali się śmierci, a jednak niewypowiedziany ból ściskał ich serca, na samą myśl że drugie umierać musi. Jednak gdy zamieniwszy myśli swoje, przekonali się wzajemnie iż oboje spokojnie i z poddaniem oczekują śmierci, uspokoili i zapragnęli osłodzić sobie ostatnie życia chwile.

Filip starał się uspokajać Dolores.

— O nie troszcz się o mnie, przyjacielu, odrzekła. Śmierć dla tych tylko może być straszną, co zostawiają po sobie kochające serca, a gdy ty smutny los mój podzielisz, nie zostanie nikt coby zapłakał po mnie. Tak więc mogę spokojnie zejść ze świata, wiedząc że zgon mój żadnego serca nie zrani, nikogo nie pokryje żałobą ... a mnie już tak tęschno do wiecznego spokoju....

— Dolores! zawołał Filip.

— Nie dziw się, przyjacielu! tyle już drogich mi osób spoczęło w mogile, tyle łez oczy moje wylały, tyle smutnych dni przeżyłam.... Dziecinne lata upłynęły mi tak błogo i miło, ale młodość tak żadnych szczęścia nie dotrzymała obietnic,.. iż nie raz już gorąco błagałam Boga, aby mnie do siebie powołał.

— A jednak ileż to cierpień, ile ciężkich przejść oszczędziłabyś i mnie i sobie, gdybyś była nie odpychała miłości mojej... a nawet i nieuniknione ciosy łatwiéj znieść we dwoje... łzy podzielone nie są tak gorzkie... cierpiąc razem, pocieszalibyśmy się wzajemnie....

— Nie mogłam zostać żoną twoją?.

— Czemu? jeśli serce twoje podzielało uczucia moje? ilekroć błagałem, abyś mi oddała twą rękę, odpowiadałaś mi zawsze, iż sprzeciwiałoby się to woli ojca mego, który pragnął abym poślubił Antoninę. Dziś ojciec mój już w niebie, tam wszelkie widoki majątkowe, wszelkie roszczenia o świetność rodu nie mają już miejsca, i gdyby mógł przemówić, pobłogosławiłby nasz związek, co do Antoniny, gdyby wiedziała, iż zawsze kochałem i kocham ciebie, najniezawodniéj zwolniłaby mnie od wymuszonego zobowiązania, od którego już samo obecne położenie najzupełniéj mnie uwalnia. Tak, luba moja! błogosławię śmierć blizką, bo ta wraca nam wolność..., czyż i ty, choć w téj uroczystéj chwili, nie zechcesz mówić z serca do serca?...

Dolores słuchała słów tych z niewysłowionem zachwyceniem; utkwiła w Filipa swe piękne oczy promieniejące, bezgranicznem uczuciem, a słowa jego: „Śmierć wraca nam wolność“ głębokiem echem odbiły się w jej duszy. Serce dopominało się praw swoich, głos wewnętrzny mówił jéj, że nie mogła teraz odmawiać ukochanemu téj jedynéj, ostatniéj pociechy, że i sama już tak wiele i tak długo cierpiała, tak bezlitośnie zniweczyła własne szczęście i nadzieje, iż to nadaje jej prawo wyznania nareszcie uczuć, ukrywanych tak długo. A oczy jego tak wymownie powtarzały jéj zaczarowane słowa „śmierć wraca nam wolność“ iż nie mogąc oprzeć się ich potędze, wyszeptała:

— Masz słuszność, Filipie, śmierć unosząca się nad naszemi głowami rozwiązuje mi usta i dozwala wyznać jak bardzo jesteś kochany. Kocham cię wielką, nieograniczoną miłością, kochałam cię tak pierwéj jeszcze, niż umiałam zdać sobie sprawę z uczuć moich, kocham cię jak ty mnie kochasz i tę miłość moją poniosę z sobą do grobu.

Filip upadł przed nią na kolana i zawołał bezmierną upojony radością.

— Ach! usłyszałem nareszcie z ust twoich te upragnione słowa, urzeczywistniające najdroższe marzenia od lat pięciu, miotające moją duszą!... O! serce moje czuło, że podzielasz uczucia moje.... teraz spokojnie oczekiwać będę skazującego wyroku, czemże jest życie w porównaniu z uczuciem nadziemskiéj szczęśliwości, jakiéj doświadczam w téj chwili!... warto okupić ją śmiercią.... Ale nie, będziemy żyć, wyznanie twoje natchnęło mnie lwią odwagą... czuję się wielkim, czuję się potężnym... w téj chwili gotów jestem świat cały wyzwać do walki w obronie naszego życia i szczęścia...... Bóg zbudził w sercach naszych uczucia wielkiéj, bezgranicznéj miłości..... Jego to wola połączyła nas po tak długiem rozłączeniu.... Dolores! Dolores! ty będziesz żoną moją!...

— Przestań! przestań nie mów tego Filipie.... nie zapominaj, że tylko pewność bliskiéj śmierci dała mi odwagę wyjawienia uczuć moich.....

— Ach! Dolores! zawołał z uniesieniem Filip, chceszże być surowszą, nieubłagańszą niż los i przeznaczenie. Jeśli pomimo grożącego nam niebezpieczeństwa nieuniknionéj śmierci, uda nam się uniknąć jéj uchodząc z więzienia, czyż nie uznasz w tem zrządzenia Opatrzności, wyraźnego dowodu, że sam Bóg pragnie naszego połączenia?... Dolores! zawołał po chwili, i drżącą dłoń jej w obie pochwycił dłonie.

Dziewica zadrżała, w téj chwili zapomniała o wszystkiem; widziała tylko przed sobą towarzysza lat młodocianych, którego od dzieciństwa całem ukochała sercem, czuła płomienny wzrok jego, słyszała głos błagalny; teraz może po raz pierwszy pojęła jak wielką i świętą ukochał ją miłością, i wzruszona niewymownie pochyliła głowę na jego ramię.

(d. c. n.)

Opis do N. 36.

N. 1. Ubranie spacerowe

z wolantem plisowanym i zębami wyszywanemi.

Suknia z jasno piaskowego wełnianego materjału, oganirowana jest wolantem plisowanym, 21 cent. szerokim na który zachodzą zęby 14 cent. szerokie, czarną włczką wyszywane, nad nimi dodane jeszcze plisowanie 6 cent. mające, z brzegów stembnowanym obrąbkiem zakończone, w środku przeszyte pliską wyszywaną lub tosadką czarną 1 i pół cent. szeroką. Takież plisowanie stanowi garnirunek tuniki, stanika i baskiny przysytéj do paska. Kapelusz słomkowy japoński, ubrany jest kolorową wstążką, lub czarną aksamitką i gałązką kwiatów.

N. 2. Ubranie spacerowe

z wolantem haftowanym.

Suknia jasno popielata oszyta jest wolantem marszczonym 16 i pół cent. szerokim, u dołu haftowanym kolorem białym ściegiem łańcuszkowym, u góry zakończonym nagłówkiem 8 cent. szerokim, w zęby wyciętym i w potrójne kontrafałdy ułożonym. Każdy ząb ma 13 i pół cent. szerokości i 6 cent. głębokości; tak zęby jak i pliska 2 cent. szerokie, przyszycie wolantu i nagłówek przykrywająca, są dwa razy łańcuszkiem wyszyte. Garnirunek tuniki i stanika stanowi takaż sama w zęby wycięta i w kontrafałdy ułożona falbanka, zakończona nagłówkiem 2 cent. szerokim w rurki układanym, ściegiem łańcuszkowym wyszytym i pliską przymocowanym.

Tak do ryciny 1ej jak i 2ej tunika kraje się podług formy dodanej do ryc. 38 w N. 32 Tyg. Mód. Do paska przyszyta baskina, układa się z kawałka skośnego, mającego 82 cent. długości, a 18 szerokości, od środka, u dołu podciętego w ten sposób że z boków ma 3—4 c. a z przodu 11 cent. szerokości. Stanik bluzkowy naszyty jest z przodów i na plecach przy wykroju plisą i zakończony maleńkim, stojącym kołnierzykiem. Okrągły, biały bastowy kapelusik, ubrany jest kwiatami i czarnym aksamitem.

N. 3. Ubranie

do kąpieli morskich.

Biała flanelowa bluzka z wykrojem kwadratowym i krótkiemi rękawkami, przyciśnięta jest w pasie majtkami szerokiemi za kolana sięgającemi. Wypustki i objęcia z pąsowéj wełnianéj tasiemki i wyszycie z pąsowéj włóczki, stanowi przystrojenie. Na czepek kąpielowy z daszkiem podaliśmy już formę w dawniejszych numerach Tygodnika.

N. 4—8. Szlak

do chustki od nosa.

Cerowanie na tiulu.

Materjał: Kawałek dobrego brukselskiego tiulu, trzymający 42 cent. w kwadrat, kółko z prawdziwego b a t y s t u mające 19 cent. średnicy. Cienkie nici koronkowe, nici płaskie świecące N. 89, bawełna do haftu N. 60 i fabryczne koronkowe pikoty.

Rycina 4 przedstawia narożnik do chusteczki, cerowany na tiulu a imitujący koronkę. Środek chusteczki stanowi kółko batystowe, zębami okrągłemi zakończone i do tiulu przydziergane. Szlak tiulowy ma w miejscach środkowych 11 i pół cent. szerokości; na naszym wzorze od jednego do drugiego narożnika, powtórzona jest 5 razy figura arabeskowa. Kwiatki i pączki różane stanowiące rzut, układają się w ten sposób że zawsze kwiatki przedzielane są dwoma pączkami. Rozkład muszek i drugi rząd pączków widoczny na wzorze.

Na glansowanym perkalu albo papierze zielonym rysuje się deseń, podkłada od spodu ceratę, a potem fastrzyguje się gładko tiul i batyst. Zmudne rachowanie oczek nie jest tu potrzebne, tylko podług oznaczonych konturów, ceruje się najpierw nićmi koronkowemi środek każdego kwiatka lub arabeski, a potem dopiero obwodzi się brzegi nicią płaską. Tylko tym sposobem unika się nierówności i skrzywienia konturów i nadaje robocie potrzebne wykończenie, naprawiając i pokrywając przy wywodzeniu wszelkie niedokładności cerowania.

Znacznie powiększona próbka N. 7 podaje z prawéj strony ścieg koronkowy służący do cerowania muszek okrągłych. N. 8 podaje też samą muszkę z lewéj strony już z wywiedzionym brzegiem. Robota taka z obydwóch stron za równo ładnie wygląda i stanowić może stronę prawą.

N. 5. Przedstawia pięcio-listną gwiazdkę ze szlaku a N. 6. pączek i listki różane. Po wykończeniu szlaku, przy wywodzeniu ząbków przyszywa się pikoty, a następnie przymocowywa ściegiem sznureczkowym. Gdy batyst na środku już jest dobrze przydzierganу i do tiulu przymocowany, znajdujący się pod nim tiul wycąć potrzeba.

N. 9—10. Dwa końce do krawatek.

Haft z podkładaniem tiulu.

Załączone wzory dokładnie wskazują rodzaj haftu, sposób podkładania tiulu i wycinania oraz użycie kratek.

N. 11. Teka do papierów.

Haft na skórze.

Materjał: cienka nieglansowana skóra koloru popielatego lub brązowego, kordonek tegoż koloru do cieniu, złota nitka i złoty sznureczek.

Zwierzchnia strona teki z popielatéj, miękkiéj, nieglansowanej skóry, przyozdobiona jest bukiecikiem polnych kwiatków, które haftują się ściegiem płaskim, kordonkiem tegoż samego koloru. Pod liście kwiatów poddaje się gęste podłożenie z białej miękkiej bawełny, tak iż listki zdają się odstawać, a kielichy są zagłębione. Żyłki kwiatów i liści robi się złotą nitką. Szlaczek 3 centy: od brzegu oddalony robi się kordonkiem złotą nitką i złotym sznureczkiem; gwiazdki i proste ściegi stanowiące frendzelkę, są naprzemian z kordonku i sznureczka złotego. Deseń bukiecika podajemy na arkuszu z krojami Fig. 26, a deseń szlaczku ryc: 18 w N. 37 Tygodnika. Teka przedstawiona ma 29 i pół centy: długości i 19 i pół szerokości; wewnętrzne kieszenie są miękkiej skóry, popielatej z ozdobionej złotemi wyciskami. Książka w angielskie popielate płótno oprawna, z kartkami do pisania, wprawiona jest we środek.

N. 12—14. Owalna poduszka pod nogi.

Materjał: sukno niebieskie, pąsowe i piaskowe, to ostatnie w trzech cieniach. Czarna wełniana plecionka i pół cen: szeroki cienki złoty sznureczek, czarny, popielaty i biały jedwab kordonkowy, pąsowa wełniana tasiemka 2 i pół centy: szeroka. Wzór do aplikacyi na arkuszu z formami Fig: 24—25. Zwierzchnia wypukła strona mocno wysłanéj poduszki owalnej, z gęstego szarego płótna mającej 9 cen. wysokości, 44 długości a 39 szerokości, pokrywa się suknem piaskowem, przyozdobionem aplikacją. Fig: 24 podaje czwartą część deseniu aplikacyi środkowej, którą naszywa się na owalnym kawałku najjaśniejszego sukna piaskowego, mającym 37 centy: długości i 21 cent: szerokości. Ryc: 13, wskazuje sposób wykonania aplikacyi środkowej. Pomiędzy linjami prostemi i odrobionemi kordonkiem czarnym, ściegiem sznureczkowym i sznurkiem złotym, znajdują się dwa rzędy łańcuszka robionego kordonkiem popielatym, między którémi pasek środkowy tła wyszyty jest ściegiem krzyżowanym i łańcuszkowym. Brzegi poduszki mają tło piaskowe ciemniejsze, przyozdobione aplikacją sukna pąsowego i niebieskiego. Kształt i układ tych części przedstawia Figura 25. Przy sobie leżące dłuższe paski sukna pąsowego i krótsze niebieskiego, są oddzielane paskami czarnéj plecionki, przyszytemi ściegiem krzyżowym, kordonkiem białym i popielatym; dwa rzędy takiejże plecionki przykrywają brzegi aplikacji, stronę zewnętrzną przyszywa się kordonkiem białym, wewnętrzną zaś popielatym. Boki poduszki pokryte są dwoma w ząbki wyciętemi i w rurki ułożonemi falbanami. Dolna 8 i pół cent. szeroka falbana jest z najciemniejszego sukna piaskowego, zachodząca zaś na nią górna mająca 5 i pół cent. szerokości, jest niebieska, w górze riuszą z pąsowéj tasiemki zakończona. Spód poduszki podszywa się ceratą lub skórą amerykańską.

N. 15—16 i 35. Kaftanik poranny z pelerynąą.

Opis na arkuszu z krojami.

N. 17—20. Gorset haftowany.

Opis na arkuszu z krojami.



N. 1. Ubranie spacerowe z plisowaniem i haftem. N. 2. Ubranie spacerowe z wolantem haftowanym. N. 3. Ubranie kąpielowe.

N. 21—23. Vêtement płaszczykowe.

Opis na arkuszu z krojami.

N. 24. Stanik

kaftanikowy z kołnierzem marynarskim.

Opis na arkuszu z krojami.

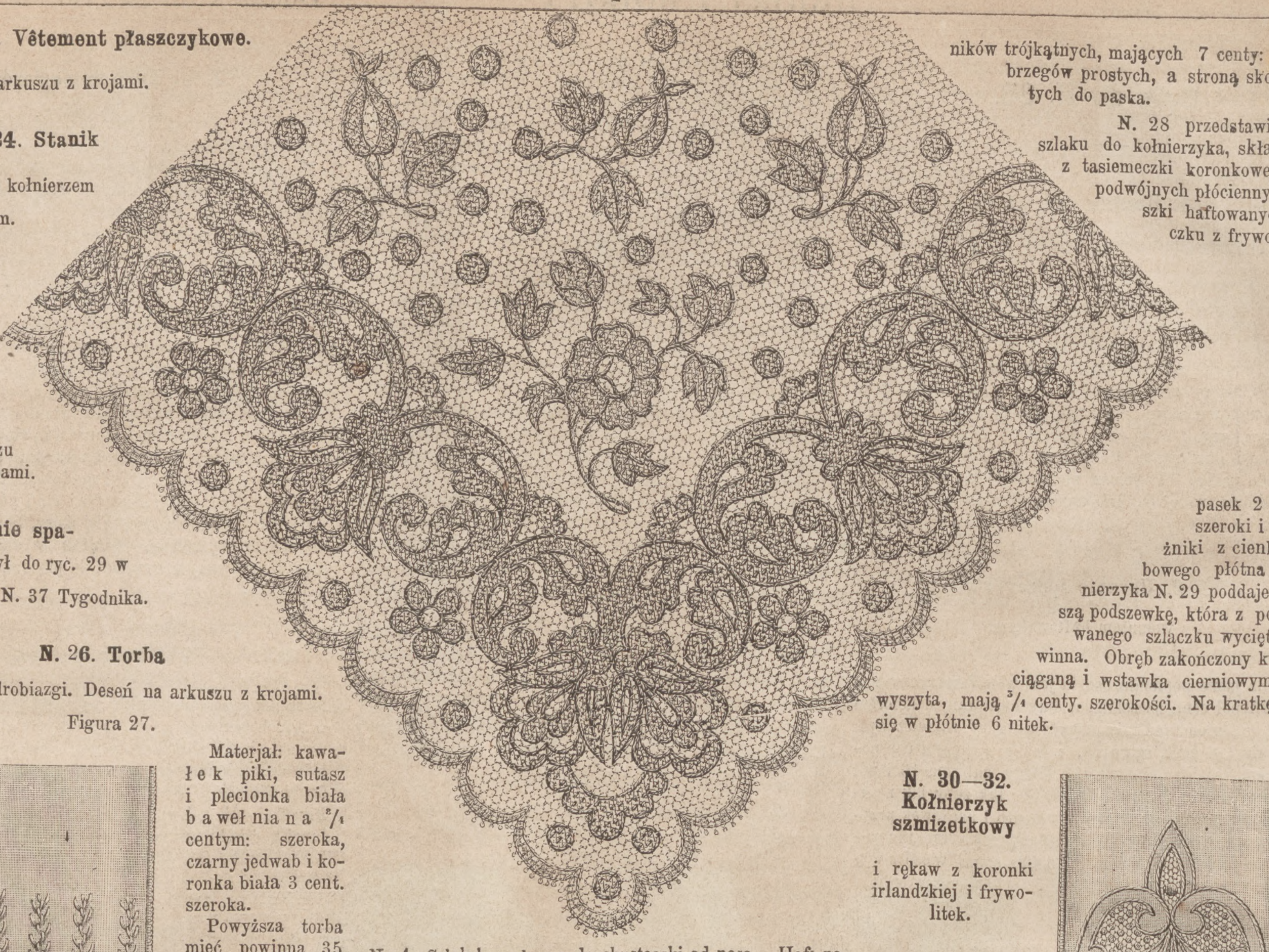
N. 25. Ubranie spacerowe. Tył do ryc. 29 w N. 37 Tygodnika.

N. 26. Torba

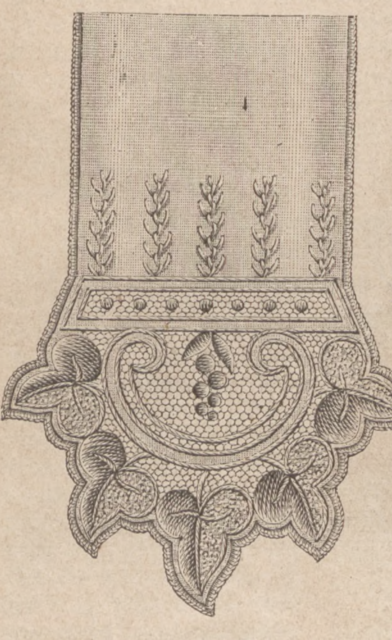
na brudne drobiazgi. Deseń na arkuszu z krojami. Figura 27.

Materjał: kawałek piki, sutasz i plecionka biała bawełniana $^3/_4$ centym: szeroka, czarny jedwab i koronka biała 3 cent. szeroka.

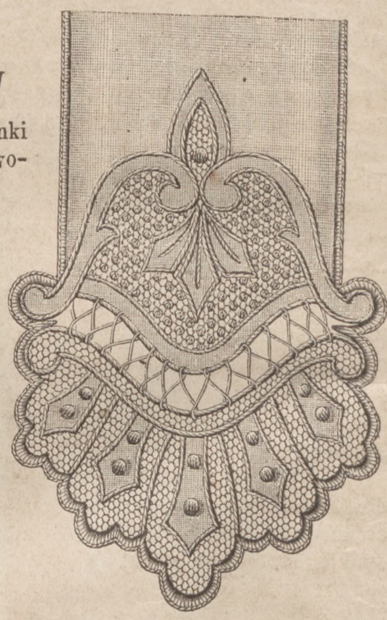
Powyższa torba mieć powinna 35 centy: wysokości i 55 szerokości, zwierzchnia klapa mająca w środku 17 centy: zwęża się skośnie ku brzegom do 8 centy. Biała lub niewarowa pika w prążki, podszyta być powinna płótnem lub szyrtyngiem. Fig: 27 podaje czwartą część deseniu wyszytego sutaszem i plecionką, podług którego łatwo ułożyć deseń na klapę. Szeroka plecionka przydzierguje się z brzegów ściegiem rzadkim, jedwabiem cienkim czarnym, a sutasz przyszywa nitką białą. Można także w miejsce białej, użyć plecionki i sutaszu pąsowego.



N. 4. Szlak koronkowy do chusteczki od nosa. Haft na tiulu. Patrz N. 5—8.



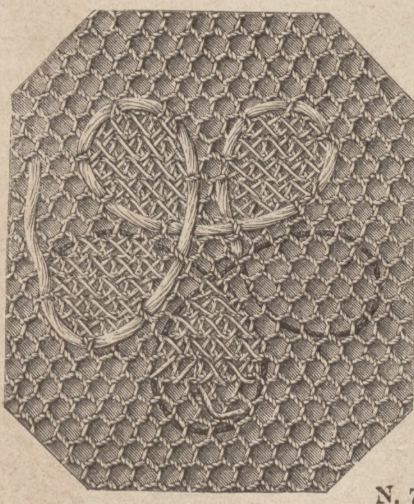
N. 9. Koniec do krawatki damskiej. Haft atłaskiem na podłożeniu tiulowem.



N. 10. Koniec do krawatki. Haft atłaskiem z podłożeniem tiulu i spajaniem koronkowem.



N. 11. Teka na papiery. Haft na skórze.



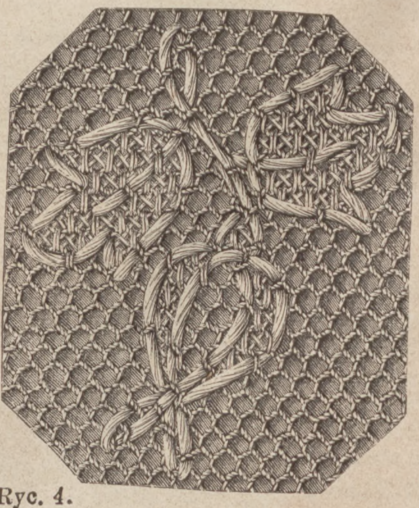
N. 5. Gwiazdki do oszycia Ryc. 4. Strona prawa.



N. 7. Muszka z brzegiem nie odznaczonym.



N. 8. Muszka do Ryc. 4. Strona lewa.



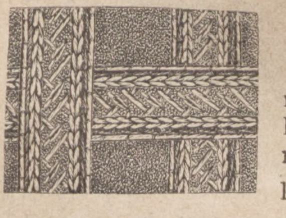
N. 6. Pączek różany Strona dolna do Ryc. 4.

N. 27—29. Dwa kołnierzyki

z wykładanemi rogami.

Do obydwóch kołnierzyków chusteczki są ukrojone bez szwu; kołnierzyki zaś składają się z prostego paska i narożników trójkątnych, mających 7 centy: długości z brzegów prostych, a stroną skośną wszytych do paska.

N. 28 przedstawia próbkę szlaku do kołnierzyka, składającą się z tasiemeczki koronkowej, pasków podwójnych płóciennych w muszki haftowanych i szlaczku z frywolitek. Pod pasek 2 i pół cent: szeroki i pod narożniki z cienkiego webowego płótna do kołnierzyka N. 29 poddaje się grubszą podszewkę, która z pod wyszywanego szlaczku wycięta być powinna. Obręb zakończony kratką wyciąganą i wstawka cierniowym ściegiem wyszyta, mają $^3/_4$ centy. szerokości. Na kratkę wyciąga się w płótnie 6 nitek.



N. 13. Wyszycie deseniu środkowego do N. 12.

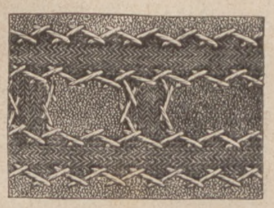
N. 30—32. Kołnierzyk szmizetkowy

i rękaw z koronki irlandzkiej i frywolitek.

Ryc. 32 podaje w naturalnej wielkości, próbkę szlaku z koronki irlandzkiej i frywolitek, na kołnierzyk szmizetkowy i mankiet do tiulowego rękawa przyszyty, które podwłóczy się kolorową wstążką i przystraja kokardami. Podług załączonej ryciny, łatwo będzie przykroić szmizetkę wielkością zastosowaną do figury. Dobrze dopasowaną formę oznaczyć wypada na ceracie, i podług tego dopiero najpierw w odstępach na ry. 32 wskazanych, naszyć skośnie tasiemki na każdej połowie szmizetki, następnie próżne miejsca zapełniać naprzemian różnemi kratkami koronkowemi i frywolitkowemi kółkami i gwiazdkami. Na każde kółko potrzeba: 5 podwój: węzłów, 3 piko: przedzielanych 1 pod: węz: 5 pod: węz: 1



N. 12. Okrągła poduszka pod nogi. Aplikacja.

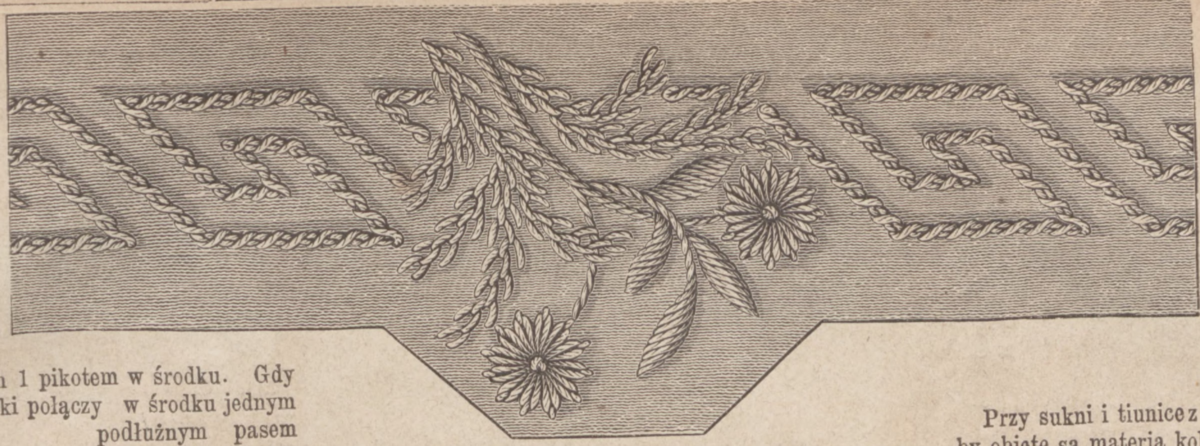


N. 14. Wyszycie szlaków. do N. 12

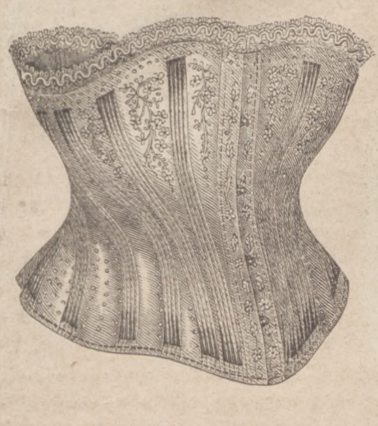
pik: 5 pod: węz: 3 pik: przedzielanych 1 podw. węz: i 5 pod. węzłów.

Złączywszy kółko, dodaje się w środku węzeł Józefiny z 5 pojedynczych węzłów i przeprowadza nitkę do kółka następnego. W cztero-listnych gwiazdkach fry w o litowych, potrzeba na każdy listek 12 — 14 podwójnych węzłów, przedzielonych 1 pikotem w środku. Gdy się obiedwie połowy szmizetki połączy w środku jednym podłużnym pasem z frywolitek i tasiemeczek, dodaje się w koło szyi, prosty z tyłu na guziczki zapinany pasek, a następnie całą szmizetkę obrabia szlaczkiem z irlandzkiej koronki.

Ażeby i w mankiecie pasy szły skośnie, potrzeba robić także każdą połowę osobno, a następnie na środku połączyć pasem frywolitek. Cały mankiet wraz z koronką ma 35 centy. obiętości, w środku 5 i pół a przy otwartych brzegach 12 centym. szerokości.



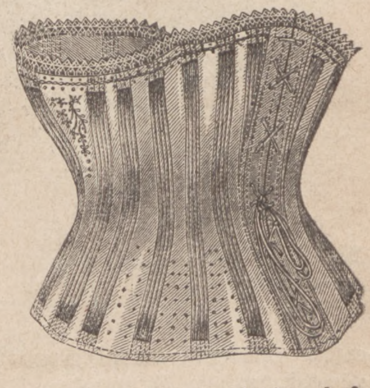
N. 16. Haft do ozdoby rannego kaftanika Ryc. 15.



N. 17. Gorset ozdobiony haftem i irlandzką koronką. Przód do ryciny 18. Krój i haft na dodatku N. VI fig. 9—15.



N. 15. Ranny kaftanik flanelkowy z pelerynką ozdobiony haftem. Tył do ryc. 35 Krój i opis na dodatku N. 1 F. 1—3.



N. 18. Gorset ozdobiony haftem i irlandzką koronką. Tył do ryc 13. Krój na dodatku N. VI Fig. 9—15.

N. 33—34. Kołnierzyk

do podłużnego wykroju i mankiet. Forma i opis na arkuszu z krojami.

N. 35. Opis przy N. 15.

N. 36. Tiunika

pelerynka do ubrania spacerowego dla panienki od lat 9—11.

Tiunika i pelerynka z materji wełnianej czarnej w białą kratkę, dodana do jakiejkolwiek gładkiej sukni, stanowić będzie ładne ubranie spacerowe. Na zmniejszonym modelu Fig. 23 oznaczona jest miara szerokości i długości bryta przedniego i dwóch brytów tylnych, które podpina się z wierzchu za pomocą guzików i pentelek czarnych rypsowych. Do zapięcia rozporka daje się pentelkę rypsową wprost pierwszego guzika, z drugiej strony. Pelerynka z krótkim zaszyciem na ramieniu, ma z przodu 36 centy: długości a 146 dolnego obwodu.

Tiunika oszyta jest marszczoną falbaną, mającą 8 centym. a peleryna falbanką mającą 6 centy. szerokości, nad któremi dodane wyszycie z szerokiej czarnej wełnianej taśmy i sutaszu.



N. 22. Vetément płaszczykowe z fałdą z tyłu. Opis na arkuszu z krojami N. X. Fig. 28—32 a.



N. 21. Vêtement płaszczykowe z peleryną i fałdą z tyłu. Krój i opis na dodat. z formami N. X. Fig: 28—32a.



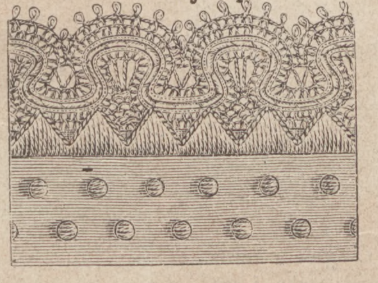
N. 23. Vêtement płaszczykowe z pelerynką i fałdą z tyłu. Patrz przód N. 21. Krój i opis na dodatku N. X. Fig. 28—32a.

N. 37. Suknia

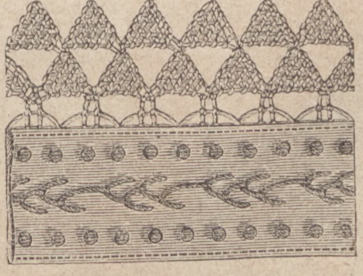
ze stanikiem pod szyję i tiuniką, dla panienki od lat 9—11.

Przy sukni i tiunice z popielatej wełnianej tkaniny, zęby objęte są materją kolorową. Garnirunek spódnicy stanowi wolant sztywnym muślinem podszyty w kontrafałdy ułożony, mający 14 centy: szerokości. Zęby wolantu są 14 centy. szerokie i 8 i pół głębokie. Nagłówek stanowi pliska podwójna 3 centy: szeroka, i riusza w jedną stronę układana tej samej szerokości. Tiunika wycięta u dołu w zęby mające 5 centy: szerokości i 3 i pół głębokości, składa się z brytu przedniego zaokrąglonego u dołu, mającego u dołu 58 w górze 33 cent: szerokości, 28 centy: środkowej, a 23 centy: bocznej długości, i z dwóch prostych, tylnych brytów od przodu skośno ściętych ku górze, mających 50 centy. szerokości, 51 środkowej i 25 bocznej długości.

Potrójna pliska z tego co sukna materjału naszyta jest w koło tiuniki nad zębami. Skos 7 centy: szeroki, w zęby wycięty i kolorową pliską objęty, naszyty jest z przodu w kształcie bretelek, na plecach stanika w kształcie chusteczki. Rękawy wązkie u ręki zakończone są zębami i naszyte pliską podwójną.



N. 19. Haftowany brzeżek z irlandzką koronką do gorsetu N. 18.



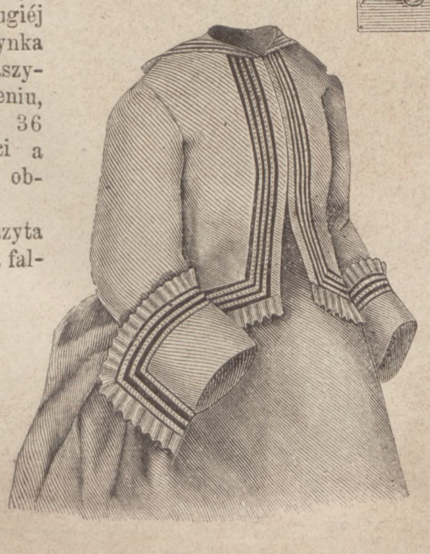
N. 20. Hatfowany brzeżek z armeńską koronką do gorsetu N. 18.

Opis N. 37.

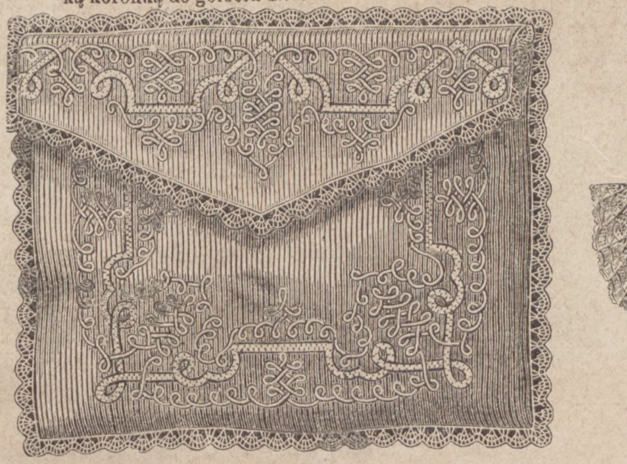
N. 1. Chusteczka

gorsecikowa i krótkie rękawy.

Chusteczka z kwadratowym wykrojem odrobiona z muślinu, haftowanych wstawek i koronki, stanowi strojne przybranie stanika, do kolorowej jedwabnej sukni. Odpowiedniego



N. 24. Stanik kaftanikowy z kołnierzem marynarskim. Krój i opis na arkuszu z krojami N. XI, Fig. 33—37.

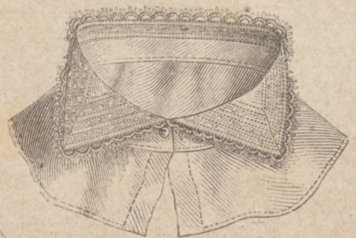


N. 26. Pikowa kieszeń na drobiazgi, wyszywana plecioneczką. Deseń na dodatku z krojami Fig. 27.



N. 25. Vetément z kołnierzem i paskiem z kароczkiem. Krój kołnierza na arkuszu z krojami N. XII, Fig. 38.

układu garnirunek, naszyty być może zarówno na krótkich jak i na długich, wązkich rękawach. Właściwą chusteczkę, stanowi pasek haftowanej na muślinie wstawki, oszyty z brzegów dwa razy koronką 8 i 6 centy. szeroką jedna na drugą zachodzącą, która być może czarna lub biała. Także sama wstawka i koronka przystraja rękawki. Dolną



N. 27. Wykładany kołnierzyk zakończony frywolitami.



N. 31. Rękaw do kołnierzyka szmizetkowego ryc. 30.

część chusteczki naśladującą gorsecik, układa się sposobem wachlarzowym, z prostego kawałka muślinu, oszytego wstawką i koronką. Kokardy z kolorowej wstążki przypięte są przy chusteczce i przy garnirunku rękawów.



N. 32. Tło z irlandzkiej koronkowej roboty i z frywolitów do ryc. 30 i 31.



N. 30. Szmizetkowy kołnierzyk. Tło patrz N. 32.

N. 2. Czarna

koronkowa chustka na głowę.

W miejsce podanego pod N. 3 kapturka koronkowego można użyć kawałka tiulu koronkowego, mającego z dwóch poprzecznych stron 107. a z podłużnych 120 centy. długości, w koło szeroką koronką oszytego, ułożonego na głowie sposobem na rysunku wskazanym i zapiętego z przodu kokardą z kolorowej wstążki.

N. 3. Kaptur

koronkowy. Krój i opis na arkuszu z formami.

N. 4. Tiunika

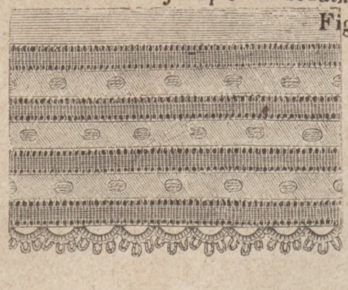
i chustka koronkowa. Opis i forma na arkuszu z krojami.



N. 36. Tunika i pelerynka do ubrania spacerowego dla panienki od lat 9—11. Krój tuniki na dodatku N. IX Fig. 23.



N. 35. Flanelkowy kaftanik ozdobiony haftem, z peleryną. Przód do N. 15. Krój i opis na dodatku N. I. Fig. 1—3.



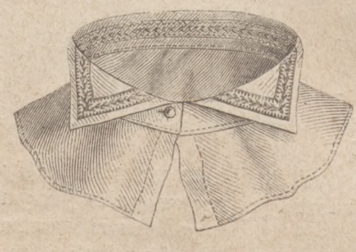
N. 28. Oszycie z koronkową tasiemeczką i ząbkami frywolitowemi do kołnierza ryc. 27.

N. 5. Kapa

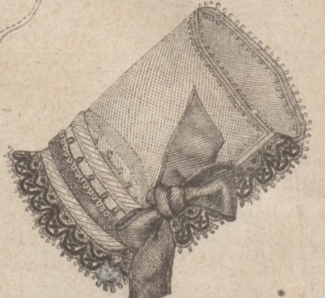
albo serwetka okrągła.

Haft i ząbki z tasiemeczki. Forma ósmej części kapy i wzór roboty na arkuszu z krojami Fig. 54. Rycina 5 podaje w zmniejszeniu kapę czyli pokrycie na meble, które odrabia się na pice, atłasie bawełnianym lub baście jedwabnym koloru écru, z dodaniem ząbków z białej tasiemeczki. Haft atłaskowy robi się białą bawełną.

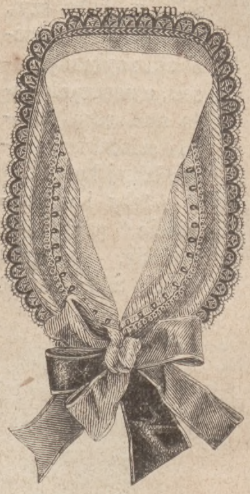
Sposób roboty dokładnie wskazany jest na powyższej rycinie; wielkość zastosowana być powinna stosownie do przeznaczonego celu. Deseń rzuciku łatwo dobrać między wzorami Tygodnika. Podług powyższego wzoru łatwo także odrobić poduszkę na toaletę lub do oparcia, dodając w koło bufę czyli wodę.



N. 29. Wykładany kołnierzyk z obrębem wyszywanym.



N. 34. Mankiet do wykładanego kołnierza ryc. 33. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 7.



N. 33. Kołnierzyk do podłużnego wykroju stanika z plisami i koronką. Krój na arkuszu N. IV Fig. 6.

Dla osób mniej wprawnych w podobne roboty dodamy że, dopasowawszy wielkość potrzebną, wycina się okrąg z obranego materjału, a na nim oznacza kontur deseniu podług którego naszywa się ząbki z tasiemeczki, następnie brzegi ząbków okrągłych obrabia się ściegiem sznureczkowym lub dzierganym, przymocowywując zarazem końce ząbków z tasiemeczki. Potem w bratkach dwa większe listki robi się wypukło atłaskiem, trzy zaś mniejsze obrabia sznureczkiem i zapełnia supełkami.

Nakoniec dodaje się ząbki z brzegu i miejsca czarno oznaczone wycina się à jour.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w numerze 37-mym.



N. 37. Ubranie ze stanikiem pod szyję i tuniką dla panienki od lat 10—12.